ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 226-83 i 152-05.

№ 2
WARSZAWA
DNIA 12 STYCZNIA 1913 R.

NA STRAŻY POKOJU.

W chwili, kiedy te słowa były pisane, panował w Europie nastrój trwożnego oczekiwania, ważyły się losy, świat zachodni wyglądał z lękiem wieści ze wschodu, a szły stamtąd piorunowe echa z pod Czataldży i dolatywał niby poszum wzburzonych wód — zgiełk szykujących się do wojny mocarstw i narodów.

Wojna powszechna, wielka wojna europejska, której groźbę czuł piszący te słowa w sierpniu r. b. (patrz № 36 *Złotego Rogu* [1]) — zawisła na włosku.

Bez względu na wynik przesilenia, nie siląc się narazie na gołosłowne wróżby, pragnę postawić przed oczy ogółu polskiego, wespół z głównymi czynnikami trwogi wojennej, dwa zasadnicze motywy współczesnych prądów pacyfistycznych w Europie.

Obok bowiem pacyfizmu serca i głowy istnieje pacyfizm rachunku. Pierwszy operuje rozgłośnie zasadami prawa i humanitaryzmu, zwołuje tłumne po stolicach wiece, zamieszcza w pismach natchnione odezwy, grzmi w parlamentach wymownemi słowy; drugi—w zaciszu gabinetów, skrzętnie gromadzi liczby, zestawia, kombinuje, oblicza i wnioski owych rozważań rzuca na szale pokoju i wojny. Wnioski to ważkie — bo stoi za nimi cała potężna, złożona i spójna machina kapitalizmu, nadająca siłę i rozpęd trzem głównym dziedzinom życia współczesnego na zachodzie — Przymysłowi, Handlowi i Giełdzie.

* * *

Powiedział ktoś trafnie, że każdy zbrodniarz musi być człowiekiem, pozbawionym fantazji. Wyobraźnia, rozwinięta w stopniu dostatecznym, stawiąc mu przed oczy przyszłe, nieuniknione męki ekspjacji, moralnej lub fizycznej, wytrąciłaby zapewne broń morderczą z dłoni.

Z równą słusznością można twierdzić, że tylko państwa, pozbawione wieszczego czucia, mogą się ważyć na rozpętanie straszliwych klęsk wojny. Oczywiście, pomijam w tem przypuszczeniu narody, dla których rozprawa orężna łączy się z nadzieją lepszego jutra, narody które wolą śmierć niż niewolę. Krzewienie pacyfizmu np. w nieszczęsnej Macedonji byłoby równoznacznem z zasadą, „niesprzeciwiania się złu“, zasadą, która w całej swej prachrześćjańskiej czystości kłóci się gruntownie z wymogami życia.

W zwykłych jednak warunkach, na straży pokoju staje bezpośredni, zdrowy instynkt społeczeństw demokratycznych i kulturalnych; on to przemawiał niedawno ustami popularnych trybunów ludowych w Berlinie, Wiedniu, Paryżu, on to gromadził ostatnio niezliczone tłumy w starożytnym grodzie szwajcarskim, Bazylei. Miejscowa gmina protestancka, wychodząc ze słusznej zasady, że sprawa pokoju wiąże się ściśle z ideą chrześćjańską, otwarła im naścieżaj wrota prastarej katedry. I oto zdarzyła się w Europie rzecz wymowna a niesłychana: z tej samej kazalnicy, skąd przed 500 laty padła klątwa na Jana Hussa imieniem Soboru, przemawiał obecnie Jan Jaurès, wódz socjalistów francuskich, imieniem wszystkich ludów Europy.

Przemawiał przeciwko wojnie.

Pod wpływem nastroju katedry, w półcieniu witrażów, uderzył Jaurès w ton kaznodziejski, z którym mu było zresztą do twarzy. Wzorem kaznodziejów użył cytat łacińskich, sposobem egzegezy.

— Oto, prawił, w głębokiem średniowieczu, ręka snycerza, który zdobił olbrzymie te dzwony, nas tu wzywające i jeszcze rozkołysane—wyrznęła w grzmiącym bronzie dewizę: *Vivos voco, mortuos plango, fulgura frango!* (Wzywam żywych, opłakuję zmarłych, łamię siłę piorunów!). A oto my teraz, wzorem dobrych chrześćjan, zwracamy się do złych chrześćjan, grożących światu mordem i pożogą i zanim zmarłych w boju opłakiwać, zanim siłą łamać upór szaleńców, apelujemy do rozumu i serca współczesnych, żywych pokoleń...

Temi słowy, mniej więcej, przemawiał Jaurès w katedrze bazylejskiej na schyłku 1912 r., a słuchały go mnogie tłumy.

---

[1]) L. Gorecki: „Wojna w powietrzu“.

Jednocześnie niemal wybitny ekonomista Edmond Théry, wyrocznia świata finansów narówni z Pawłem Leroy-Beaulieu, zgromadził dokoła siebie inne zgoła audytorjum, z potentatów giełdy złożone i z tej narady takie wysnuł wnioski:

— Wojna powszechna w Europie jest niemożliwą, ponieważ rozpętałaby ona straszliwe klęski, napiętrzyłaby gruzy niezmiernego zniszczenia i cofnęłaby cywilizację wstecz o całe stulecie.

Stając li tylko na terenie gospodarczym i finansowym, nie trzeba zapominać, że cały gmach cywilizacji, rozwoju społecznego i dobrobytu, spoczywa obecnie na fundamencie *kredytu publicznego* a fundament to bardzo niepewny i bardzo czuły na wszelkie wstrząsy.

W roku bieżącym 1912-ym Europa posiada 750 miljardów franków w różnych papierach wartościowych, które przedstawiają cały zasób jej narzędzi wytwórczych, kapitał obrotowy przemysłu, rolnictwa i handlu, wreszcie znaczną część ubezpieczeń i oszczędności we wkładach urzędowo notowanych.

Walory te wzrastają rok rocznie o 20 — 25 miljardów, przechodząc z rąk do rąk w zastępstwie monet istotnie wartościowych, bo szczęśliwi ich posiadacze mają bezwzględną pewność, że kasa pierwszego lepszego banku wypłaci zawsze nominalną ich cenę w gotowiźnie.

Podobnie, ci wszyscy, co posiadają banknoty, czeki i weksle, żyją w przekonaniu, że w każdej chwili otrzymać mogą wzamian odpowiednią ilość brzęczącej monety.

Owa pewność, owo przekonanie, na którem wspiera się quasi-granitowy cokół kredytu publicznego, czyli równowaga gospodarcza dzisiejszego ustroju — wali się w gruzy momentalnie podczas katastrofy wojennej, rzucającej wzajem na siebie sześć mocarstw Europy, czyli ośmnaście miljonów żołnierzy...

Oto dlaczego potężne, wszechwładne na zachodzie mieszczaństwo żywi niekłamaną do wojny odrazę. Londyn, Paryż, Bruksella, Amsterdam— są to centra spokojnego, na liczbach wspartego pacyfizmu. Oto dlaczego, — rzecz napozór niezwykła, paradoksalna—obok ludowej straży pokoju, staje straż pokojowa złożona z magnatów giełdy, przemysłu i handlu.

Oto dlaczego grzmiące przemowy trybunów w rodzaju Jaurés'a, Keiz-Hardie'a, Vandervelde'a cytuje z dyskretną aprobatą wielka prasa burżuazyjna we Francji, Anglji, Belgji, a poczęści i w Niemczech.

Oto dlaczego, wreszcie, Europa zachodnia powściągliwą zachowuje rezerwę, podczas gdy w Europie środkowej i wschodniej wrą tu i owdzie kratery, z których pryska płynna lawa, niecąc naokół skry, czad i popłoch pożogi.

Istotnie, rozwój polityczno-społeczny nie jest równomierny. Na zachodzie — we Francji, Anglji, Belgji, Holandji, Szwajcarji—mieszczaństwo rządzi niepodzielnie, a masy ludowe biorą w rządach udział bezpośredni. Natomiast, im dalej na wschód, tem słabnie wpływ czynników mieszczańskich i ludowych: w Niemczech, gdzie dominują Prusy, u steru władzy stoi potężne junkierstwo wespół z liczną i wpływową kastą biurokratyczno-militarną; w Austrji dokoła następcy tronu grupuje się kamarylla wojskowa, że pominę już państwa, dalej na wschód leżące.

Oto dlaczego Europa Zachodnia wolna jest narazie od obaw wojennych, a gdy nawet na Wschodzie i w środku Europy wybuchnie pożoga — postara się ją od progów swoich odpędzić.

Leon Gorecki.

Paryż w grudniu.



Poezja w kraju mikada.

— Jeżeli poezja narodziła się wraz z człowiekiem, to uta wraz z japończykiem!

Tak woła w zachwycie nad arcyutworem japońskiej poetyki patrjarcha poetów japońskich, Tsurajuki. I nie przesadza bynajmniej znakomity pieśniarz i krytyk kraju Wschodzącego Słońca, wygłaszając swe ekstatyczne zdanie już w VIII wieku naszej ery...

Z pośród wszystkich zjaw w państwie mikada uta jest najbardziej swoistą, oryginalną i japońską, prawdziwa kość kości i krew krwi narodu.

Posłuchajmy, co mówi „Uta o ucie“:

Uta, to boska pieśń, którą kraj Jezior śpiewa,
a bambusowy gaj powtarza o zachodzie,
każdy ją gwiżdże ptak i szumią wszystkie drzewa,
uta to boska pieśń, którą kraj Jezior śpiewa...
Zda się, wiosennych tchnień buchnęła w świat [ulewa,
o szczęścia wróży dniach, o słońcu, o pogodzie —
uta to boska pieśń, którą kraj Jezior śpiewa,
a bambusowy gaj powtarza o zachodzie.

Rzeczywiście kraj Jezior, jak nazywają również swoją ziemię japończycy, wzdłuż i wszerz śpiewa swoją boską pieśń — utę, bo nigdzie u żadnego narodu, życie tak nie zlało się i nie zespoliło z poezją, jak w Japonji.

Od ubogiej lepianki rybaka do wspaniałej rezydencji mikada rozciąga się królestwo uty, którą nietylko wypowiedzieć, ale i stworzyć potrafi i riksza, i minister, i kupiec, i dama dworu, i przekupka — słowem, każdy japończyk i każda japonka w miarę sił i uzdolnień artystycznych, kochającej piękno duszy. Poezja jest tu potrzebą życia, nieodzownym przejawem wszelkiego zachwytu, porywu, myśli i uczucia.

Święto słońca i wiśni — dwie uroczystości japońskie stały się w Japonji jednocześnie zbio



Aleksander Augustynowicz. (Tow. Z. S. P.) Portret rodziny.

rowym aktem hołdu i uwielbienia dla poezji. Wszyscy są wtedy poetami, wszyscy śpiewają, deklamują, wykrzykują i tworzą wdzięczne uty, a kwitnące wiśnie uginają się nietylko pod ciężarem białych i różowych pąków, lecz i przypiętych deseczek i kartek z nieskończonym szeregiem ut, dawnych i nowych, zapamiętanych i stworzonych pod wrażeniem chwili, ekstazy i nastroju.

Prawdziwy kraj poetów i poezji!..

Uta sięga w Japonji zamierzchłej przeszłości. Legenda twierdzi, że wyśpiewali ją bogowie, a słowo, od którego pochodzi: „utaeru“ — śpiewać, było pierwszym dźwiękiem japońskiej mowy.

Utę znają już bardzo odległe turnieje poetyckie, ogłaszane przez różne prowincje Japonji. W oznaczone miejsce ściągały wtedy liczne procesje ludności z najodleglejszych zakątków kraju, by deszczem irysów i chryzantemów osypać zwycięzców za zadeklamowanie najpiękniejszej uty.

O zaszczyt ten ubiegały się miasta i wsie, nie posiadając się z radości i dumy, gdy wśród swych mieszkańców miały zwycięskich poetów lub zwycięskie poetki, ponieważ i one brały udział w zapasach, prześcigając niejednokrotnie w kunszcie tworzenia, mężczyzn.

Z ' iegiem czasu ustały turnieje poetyckie, ogłaszane przez ludność Japonji, przekształcając się w stałe doroczne konkursy, urządzane przed Nowym Rokiem w rezydencji mikada.

Do konkursu ma prawo stanąć każdy japończyk lub japonka. Najlepsza uta okrywa sławą laureata, który otrzymuje również nagrodę w postaci dość znacznej kwoty pieniężnej.

Tematy i warunki takich konkursów bywają czasami bardzo oryginalne i arcyzabawne. Oto, naprzykład jedno z zadań tak zwanego konkursu „geometrycznego“:

— Napisać utę, w której byłaby mowa o trójkącie, czworoboku i kole...

Z pośród wielu nadesłanych ut, pierwszą nagrodę otrzymała poetka Czajjo, za następujące rozwiązanie zadania:

Przez róg, odcięty z moskitowej
[siatki,
co okno moje wieczorem prze-
[słania,
rada ujrzałam krąg miesiąca
[gładki,
przez róg, odcięty z moskitowej
[siatki...
Z za bambusowej wychylił się
[chatki
i wciąż słał ku mnie znaczące
[mrugania
przez róg, odcięty z moskitowej
[siatki,
co okno moje wieczorem prze-
[słania.

Uta, prócz bardzo wdzięcznego nastroju księżycowej nocy, w zupełności odpowiedziała warunkom konkursu, gdyż: 1) róg moskitowej siatki jest trójkątem, 2) okno — czworobokiem, 3) kiężyc — kołem.

Po ogłoszeniu konstytucji, pod wpływem europeizowania się poezji i sztuki japońskiej, zaniedbano konkursów na uty, lecz wkrótce piękna tradycja poetycka wróciła, wznowiona przez niedawno zmarłego mikada-poetę, Mutsuhito.

Niemało też, choć pomimo swej woli, dopomógł do tego głośny poeta „japoński“, Fryco Szimida, a właściwie prusak berliński, Fryc Szmidt, który, osiedliwszy się na stałe w Japonji, począł robić wcale niezły interes na poezji, flancując ideały z nad Szprewy w Tokio. Mał-



Alfred Wierusz-Kowalski. (Tow. Z. S. P.) Autoportret.



Władysław Jarocki. (Tow. Z. S. P.) Ave Maria.

pując bezkrytycznie Europę, niektóre warstwy japońskie zaczytywały się modnymi, prusko-japońskimi elaboratami Fryca, lecz okres ten potrwał niedługo. Nastąpiła reakcja i dawna uta tak, jak ongi, zwyciężyła na całej linji.

Ciekawym był stosunek zmarłego władcy Japonji do poezji, jako charakteryzujący jaskrawo to, czem jest uta dla japończyka.

Oto, co mówią dworskie annale:

Podczas morskiej podróży z Tokjo do Kjoto, towarzyszył mikadowi obecny nadworny poeta, baron Tagasaki. Był upał nie do wytrzymania. Wszyscy czuli się senni i niewyraźni. Mikado tylko ratował swą godność pisaniem ut. Odbił się jednak i na nim wpływ żaru, kapiącego z nieba, i aby rozerwać myśli, przywołał br. Tagasaki, dając mu do przeczytania trzy najnowsze uty i prosząc o wskazanie najlepszej. Tagasaki wybrał jedną tylko, opiewającą krasę świętej góry Fudżi, widocznej w całej podróży. Cesarz jednak okazał się z takiego wyboru niezadowolony, gdyż o wiele więcej trudu włożył w dwie pozostałe uty. Urażony westchnął:

— Niema nic trudniejszego nad pisanie ut!..

— Czyż, w istocie, jest to tak uciążliwe, najjaśniejszy panie i władco? — odparł baron, nie przeczuwając, jaką przykrość sprawi tem cesarzowi.

— Ja myślę, iż to trudno — mówił dalej mikado. — Kto w swem życiu choć jedną prawdziwie dobrą utę stworzy, może się uważać za poetę, a sądzę, iż mało jest takich, którzyby nawet dwa dobre wiersze napisali. Ponieważ jednak pan widocznie nie uważa poezji za rzecz trudną, wnioskuję stąd, baronie, iż jesteś nadzwyczaj wielkim poetą i dlatego dam ci kilka tematów do napisania ut...

Z temi słowy podsunął baronowi pendzelek i tusz, lecz Tagasaki oznajmił, iż w czasie kołysania się okrętu oraz przy wielkim upale nie jest zdolny do tworzenia poezji.

— Chcesz się uważać za lepszego ode mnie, baronie?

Przestraszony Tagasaki zaczął zapewniać, iż nigdy podobna myśl nie przyszła mu przez głowę i że dołoży wszelkich sił, by przekonać o racji swej cesarza. Udało mu się to, gdy zacytował słowa wielkiego poety VIII wieku, Tsurajukiego, brzmiące jak następuje:

„Poezja Japonji tkwi w sercach ludzkich i uzewnętrznia się we wszelkich brzmieniach mowy. Poezją jest to, co się tworzy, gdy myśli bywają wyrażone w metaforach, powstałych z tego, cośmy widzieli lub słyszeli. Tryl słowika wśród kwiatów, lub rechot żabi w stawach przekonywa nas o tem, iż wszystko, co żyje, wypowiada się w śpiewie. Poezja, nieświadomie powstała, porusza niebo i ziemię, aniołowie i szatani, dla oczu naszych niewidzialni, poczynają żyć i działać. Przez poezję mowa kochanków staje się słodszą, a serce rycerza mięknie i łagodnieje. Uta jest duszą: *jeżeli poezja narodziła się wraz z człowiekiem, to uta wraz z japończykiem*. Niema nic śmieszniejszego, jak chcieć nauczyć się pisania wierszy. Gdy odnaleźliśmy swój głos, *musimy* śpiewać tak, jak to czyni ptak, gdy gwiżdże, lub wicher, gdy szumi. Prostota jest pierwszym i ostatnim warunkiem, a prosta uta, jest jakgdyby modlitwą w świątyni, w której błagamy o przybliżenie się do światła i piękna. Pisanie wierszy jest już przejawem wyższego rozwoju naszej duszy, lecz pierwotna natura ludzka w całej swej prostocie jest najpodnioślejsza. Mamy ludzkie serca i dlatego *możemy i musimy* tworzyć..."

— I dlatego najjaśniejszy panie — dorzucił baron, przytoczywszy ustęp z Tsurajukiego — twierdzę, że pisanie ut nie jest trudne.

Mikado, tak był pod wrażeniem tych słów, napisanych z górą przed tysiącem lat, iż poczuł się najzupełniej pokonany.

— A dlaczego, baronie, nie chciałeś napisać zadanych ut? Czem to wytłumaczysz? — spytał.

— Ponieważ poezja nie może być rzemiosłem, a na komendę nie potrafiłbym stworzyć nic artystycznego. Bez natchnienia, żadnej uty nie napiszę. Poezja nie powinna być zrobiona, musi być wyśpiewana...

Wówczas mikado odczytał wiele jeszcze swych ut baronowi, pozwalając je swobodnie krytykować. A gdy okręt przybił do Jokohamy, Tagasaki był już wielkim przyjacielem mikada.

Od tego czasu bywał prawie codziennie w pałacu, by rozmawiać z władcą o poezji i krytykować nowe utwory. Wkrótce też został mianowany nadwornym poetą i organizatorem konkursów dorocznych.

Jak twierdzi baron Tagasaki, mikado Mutsuhito pisał corocznie od 2 do 3 tysięcy ut, nie zaniedbując wszakże swych obowiązków monarszych, stawianych zawsze na pierwszym planie i przedewszystkiem.

Japonja często dowiadywała się o tem, że jej władca był poetą. Zdarzało się, iż mikado na Nowy Rok składał serdeczne życzenia swym poddanym przez wdzięczną i z entuzjazmem zawsze witaną utę.

Noworoczne jednak uty Mutsuhity nikną zupełnie wobec jego ut, pisanych dla narodu i do narodu podczas bohaterskiej i zwycięskiej wojny z Rosją. Częściej niż manifesty, zjawiały się one z pod pióra mikada i budziły nieopisany zapał i żar patrjotyczny.

Oto jedna z takich ut bojowych Mutsuhity:

Nie płaczcie ojce, nie płaczcie matki,
że dzieci wasze krew leją,
że pustoszeją pola i chatki,
nie płaczcie ojce, nie płaczcie matki!..
Tryumf wojenne wróżą wypadki,
ziemia oddycha nadzieją —
nie płaczcie ojce, nie płaczcie matki,
że dzieci wasze krew leją...

Do jakiego stopnia uty stały się codzienną wprost potrzebą duszy japońskiej, jak z ich „śpiewnym dźwiękiem" i „mową bogów" zrośli się wszyscy synowie kraju mikada od najniższych do najwyższych, najlepiej uwydatnia to i po dziś rozpowszechniony zwyczaj układania ut... w imię moralnego obowiązku.

Tradycja ta wynika zapewne z całego szeregu rad, sięgających zamierzchłej, japońskiej przeszłości, które z całą ścisłością i posłuchem są stosowane w życiu.

Gniewasz się, zły jesteś?—pisz, a nie mów nikomu rzeczy nieprzyjemnych, nie irytuj się na otoczenie.

Oto, jak postępuje w myśl tej zasady znakomity dworski poeta Fudźiwara-no-Mototoszi, któremu jeden z faworytów mikada obiecał poparcie, lecz nie dotrzymał słowa, zwłócząc poetę obietnicami:

Czekałem długo i z tęsknotą
na rosę twej przyjaźni,
o jakże cię prosiłem o to,
czekając długo i z tęsknotą...
Wciąż łudzisz mnie tą chwilą złotą,
więc dziś mnie to już drażni —
czekałem długo i z tęsknotą
na rosę twej przyjaźni...

A więc ani jednego cierpkiego słowa, ani cienia irytowania się oko w oko, prozaicznie i nieestetycznie, natomiast wdzięczna uta, jako ujście dla osobistego gniewu czy oburzenia.

Niepokoisz się, gnębi cię coś? — pisz, nie wyobrażaj sobie rzeczy nadzwyczajnych, których może wcale niema poza twoją podniecóną niepokojem wyobraźnią:

Za górę Oe, za Ikono
jadę na cudne Ama,
żegnam cię więc, północna strono,
za Oe jadę, za Ikono...
Z domu mi listów nie wręczono,
co myśleć, nie wiem sama —
za Oe jadę, za Ikono
na cudną wyspę Ama.

Tak pozbawia się niepokoju, przelewając go na papier, dama dworu Koszikibu, i z lżejszem sercem jedzie w dalszą drogę.

Słowem, cokolwiek się stanie, czy smutnego czy radosnego, japończyk szuka ujścia dla swoich myśli i uczuć, i tworzy w imię moralnego obowiązku, który z dawien dawna stał się rdzeniem jego pacierzowej kości. Poezja jest dla japończyka ucieczką i koicielką w każdym momencie życia.

Niemało też ut zawdzięcza swe powstanie gejszom, wśród których poezja kwitnęła zawsze i do dziś jest na pierwszym planie. Szkoda tylko, że ulegając zepsuciu, jakie wnieśli do herbaciarni japońskich europejczycy, poszukiwacze wrażeń, zeszpeciły siebie i dawną piękną utę, zniżając godność własną i utworu do poziomu rozwydrzonego kabaretu.

Remigjusz Kwiatkowski.



LISTY Z BAŁKANU.

(Oryginalna korespondencja „Złotego Rogu").

II. DO BELGRADU....

Belgrad dnia 21 grudnia.

Pociąg mknie po równinie przeczystej, gdzieniegdzie ubranej lasami... w dali majaczy błękitne pasmo mroźnego Bałkanu w aureoli srebrzystej kurzawy śniegów...



Włodzimierz Tetmajer. (Tow. Z. S. P.) **Zmierzch.**



Marja Wasilkowska. (Tow. Z. S. P.) **Wiosna.**

W przedziale jest pełno.

Naprzeciw mnie siedzą dwie Kroatki. Obie młode, przystojne i obie zgaszone. Starszej męża zabrali do wojska — panna ma przecudne, z kwiatów wiosennych zebrane rumieńce i suchoty.

Obok jakiś bardzo siwy i bardzo miły pan czyta *Obzor* (najpoczytniejszy dziennik kroacki) i dzieli się głośnemi wiadomościami ze swym towarzyszem podróży.

Pociąg mija stacje, a każda—to mały, senny domeczek, u góry zwiędłem obrośnięty winem, u dołu umazany błotem, z okienkiem przesłoniętem tandetną firanką, z poza której jakoweś ludzkie istnienia, zgubione w pustej i szarej przestrzeni pytają przejezdnych dużemi oczyma, jak wygląda świat, jak życie szerokie, jak grzech, jak szczęście.

Moiściewy, ludzie maluczcy! We mnieście oczy wasze duże utkwili? Mnie pytacie?

Chcecie?! Ja wam powiem.

Powiem, jak wygląda świat i życie szerokie, och! i jak grzech wygląda, lecz szczęścia— to już może do was, w wasze małe, ciche, winnem gronem obrośnięte domki szukać pójdę.—

Schodzi już południe, a na świecie wciąż pochmurno i mglisto i mroczno. Słońce nie zesłało na tę ziemię jeszcze ni jednego uśmiechu.

Tam, na jasnym brzegu ono świeci!

Mijamy jakąś zmurszałą wioszczynę kroacką, przytulona, jak sierota do lasu, a za wioską, na wzgórzu mieszkanie krzyżów.

Rozmokłą, smutną, pożółkłem listowiem zasłaną ścieżką idzie latami schylona staruszka. Drepce wolno, lecz się nie rozgląda: snać dobrze pamięta, którą drożyną wił się różaniec jej łez starych.

Skręca na ubocze, przyklęka, kładzie się całem ciałem i w żałosnym szumie smutnych drzew cmentarnych cicho, cichutko omszały głaz zapomnianego jakiegoś grobu całuje.

Widziałem to tylko ja i owo młode stworzenie, co miało cudne, z kwiatów zebrane rumieńce i suchoty.

Chociem się starał, jej sobą całym ten obraz przesłonić!...

Pojęła mój ruch i spojrzała mi w oczy słodko, łagodnie i tak dziwnie... tak dziwnie!..

Dziewczyno moja w rumieńcach! Czy *twój* grób będzie kto całował?

Kto?

Czy taka babcia staruszka, której łzy już z płaczu wyschły? Czy narzeczony młody?

A kiedy?

Wkrótce... wkrótce..

Lecz chcesz, żeby ci słońce świeciło, prawda? Nie chcesz takich dni zimnych i wietrznych! takich zmierzchów smutnych, takich wieczorów sierocych!

Niech ci ono jasno świeci! niech mocno grzeje! Niech ci kwiaty na grobie zakwitną— kwiaty wiosenne, jak twoje rumieńce!...

Wkrótce... wkrótce...

Widziałem to i zrozumiałem tylko ja i dziewczyna. Dziewczyna miała krople pereł na rzęsach a ja duszę łez po brzegi pełną.

Tymczasem przyjechaliśmy do Brodu, gdzie się odgałęzia linia do Sarajewo idąca. *)

Dalszą drogę przejechałem we śnie, znużony dwie pełne doby trwającą już jazdą—budzony tylko od czasu do czasu silniejszem szarpnięciem wagonów albo jaskrawem światłem stacyjnej latarni, które znienacka w oknie staje, rozświetlając na szybie misterne paciorki wieczornej rosy.

Pod noc budzi mię konduktor oznajmieniem, że India przed nami.

Wysiadam i chwytam ekspress paryski, który mię już do Belgradu niesie. Jest nieco spóźniony i gna jak wicher stepowy po węgierskiej puszcie.

Przyjeżdżamy do granicy.

Przedemną Dunaj.

Z za Dunaju, ze zgubionej dali wyłaniają się kontury wyniosłego wzgórza.

Dołem, równo z wodą, jarzy się różaniec latarń. Biegną półkolem i tak są ze sobą złączone, że wydają się ni to jedna struga świetlista.

Druga wstęga świateł odbija się w rzece.

---

*) Korespondencja powyższa przypadkowo wpadła do rąk władz serbskich, które nie omieszkały takowej (pod koniec) odpowiednio skrócić.

Powyżej, na stokach lądu tlą jeszcze gdzieniegdzie światełka ludzkie, jak gromadki robaczków świętojańskich, które migocą wieczorami po ścianach regli tatrzańskich.

To światła Belgradu.

III. PZRY MOIM MAŁYM, DREWNIANYM STOLIKU...

(Hotel Moskwa. Domek cudowny. Zapach lat ubiegłych. Małe piąterko. Podole. Mój pokoik. Przez moje okienko, Życie. Cud!...)

Belgrad, dnia 28 grudnia

Przejechawszy do Belgradu, zamieszkałem na najwyższem piętrze, najwyższego w mieście gmachu, który stoi na najwyższym punkcie całego Białego Grodu—w hotelu, który się nazywa—hotel Moskwa i również, jak to ma miejsce w jego imienniczce, swych gości ze skóry łupi i z ciała obdziera.

Przeto się wyprowadziłem.

I znalazłem sobie domek cudowny — domek biały, domek nizki, stary i zaciszny, otoczony ogródkiem i owiany wonią świeżej ziemi, który sobie budowali ludzie prości i mali, ze słodką myślą, że pod tym dachem drewnianym całe pokolenia takich ludzi prostych i małych rodzić się będą, smucić i radować, i spokojnie w Bogu umierać.

Naokoło ścian biegnie ganek wsparty na zmurszałych słupach drewnianych, zarosły winem, zaglądającem nagiemi rózgami gałęzi do czterech okien, pociętych w drobne kwadraty szybek i oprawnych w zczerniałe, próchniejące już ramy.

Nad drzwiami wchodowemi, we wgłębieniu, nieudolny posążek drewniany św. Mikołaja. Przy boku nizkie oficynki, gdzie kłębi się całe gniazdo szczeniąt szukających niezdarnymi pyszczkami za matką i za pożywieniem, a opodal stajnia, w której stoją rozważne woły o rogach długich i wygiętych.



Helena Blankstein. (Tow. Z. S. P.) Zadumana.

I ma ten domek piąterko, jeden tylko pokoik mieszczące — i w tym pokoiku ja mieszkam.

I ma ten domek jakąś dziwną dobroć, łagodność i dziwne daje wzruszenie.

Znaczą się na nim ślady troskliwej myśli jego mieszkańców, którym jest tak do życia, do szczęścia potrzebny, jak powietrze i woda i śpiew i odrobina strawy codziennej.

I wieje od niego zapach lat ubiegłych, jak urok pożółkłych kwiatów, które babki w starych książkach przechowują na pamięć, im tylko pamiętnych uniesień...

Kiedyś, nocą cichą i wonną, gdy bzy naokół pachły, jak kadzielnice, wstrząsane łagodnie powiewem wiatru, napływającym od oczącego się w dole Dunaju a brzozy w ogródku drżały leciuchno w srebrnym pyle księżyca — kiedyś w taką noc cichą i wonną schodzili z gór niedostępnych, niepogodzeni z Turczynem „insurgenci“ — błyszczący strojem, bronią i oczami i na kamiennych stopniach ganku zasiadłszy, matce swej opowiadali, kto jeszcze z nich żyje, a kto już w ziemię poszedł i jakie nowe junactwo jutrzejszy świt przyniesie.

I domek wówczas wraz z jego mieszkańcami drżał nadzieją tryumfu i płonął uniesieniem.

Lecz potem, kiedyś... nadpłynęła druga noc, inna noc, na jary i wąwozy Serbji, na jej lasy czarne i poświatą szafirowe chaty, na jej ogrody i sady



Włodzimierz Kugler. (Tow. Z. S. P). Piorun.

drzew wiśniowych, obsypanych pękami owocu — i w taką noc daremnie mieszkańcy tego domku wyczekiwali swoich synów, którzy w góry poszli.

I wówczas wierny domek wraz ze swymi mieszkańcami drżał męką niepokoju i zapadał w ciszę żałoby...

W tym takim domku, na małem piąterku ja teraz mieszkam — i przeżywam chwile najmilsze.

Jakaś cisza, jakieś uspokojenie jest w tych białych ścianach, mojego pokoiku.

I potem ta atmosfera przeczystej, naiwnej prostoty...

Jak w całem życiu Serbji.

Bo ma ten świat serbski coś z prymitywności i zacisza naszych światów na Podolu, na Ukrainie—na szerokich ziemiach ruskich.

Jak wogóle charakter kultury serbskiej na wielu, bardzo wielu punktach zbliża się do charakteru prostej kultury małoruskiej.

To też nigdy i nigdzie, w żadnym zakątku tułaczej ziemi nie jawił mi się tak często, jak tutaj umiłowany obraz niezapomnianych stron zbożem i chlebem pachnącego Podola.

Jakże często myśli moje—ciągłe i nie dające się nigdy zniszczyć, ulatują z tego zacisza w radość rozzłoconych poranków, w melancholję wieczorów podolskich i tulą się w przepych rzeczy przecudnych, w ukochanie rzeczy utraconych— co minęły... i dawno... i na zawsze!...

Jakiś wieczór letni...

Modlitwa drzew lekko szumiących.

Powiew ciepłych prądów, niosących woń rozpachniałych grząd rezedy.

Psy szczekają po chatach, gamą cichnącą przechodzącą w żałosne wycia czy skomlenia.

Siano pachnie.

Przez siatki krzewów i gałęzi gasną okna dworku—wolno, jedno po drugiem, jedno po drugiem, jakby ktoś gasił djamentowy różaniec.

Jeszcze jedno okienko się jarzy i śnieżne ćmy, mniszki—futerkiem białego pyłu pokryte, wirują naokoło lampy.

Aż gaśnie ostatnie okienko i w śpiewnym szmerze stawu, szumie oczeretów i w szeleście odchylanych gałęzi spływa do altany długi, biały, jasny woal dziewczyny.

Wieczór letni...

Co minął... i dawno... i na zawsze...

— — — — — — — — — — — — — —

W moim małym pokoiku ściany bielone, obwieszone portretami gospodarzy domu — ich ojców, i dziadków — i ich synów i wnuków — i ozdobione niezdarną jaskrawą podobizną *krala* Alexandra, *kralicy* Dragi i *krala* Piotra.

W tym pełnym wyrozumiałości domku, nawet ci śmiertelni wrogowie w zgodzie z sobą żyją.

Jedno im słońce, przez jedno jedyne okienko przyświeca.

Koło okienka stolik drewniany, przy którym ten list do was piszę...

Naprzeciw portretu obraz Matki Boskiej z lampką wiecznie gorejącą, przybrany naokół wiankiem widoków z Ameryki i płatkami jakichś wyszywanek domowej roboty.

Pod lampką stoi mój *krewet* — moje łóżko.

Nad łóżkiem *czilim** wyhaftowany pracowicie przez *gospodżę***: kiedy była jeszcze *dewojką****: trzy niewyraźne turczynki tańczą przed skapiałym baszą, który wygląda jak namacalny przykład męskiej nierozwagi — a przytem ma jeszcze wąsy wyżej nosa i fajkę prawem uchem pali.

I jest jeszcze staromodna etażerka zarzucona bezlikiem glinianych i szklanych drobiagów w których ranne słońce wywołuje promienne migotanie tysiącznych gwiazd.

Prosto i świeżo i lekko jest ciału i duszy w takich białych ścianach dobrego domku.

Daleko zostają smutki—zapomina się o żalu za życiem, co rosło tak bujnie, a dziś wygląda niby gradem zbity, kopytami stratowany łan zmarnowanego zboża.

Przez jasne okienko małego pokoiku idzie istnienie światów mocnych, obecność rzeczy niezwyczajnych — idą czarowne zachody słońca nad potoczystym Dunajem, płyną śpiewy księży, prowadzących pogrzeb jednego z wielu bohaterów, żałobny symbol chwały żołnierskiej i biją zwycięskie uniesienia duszy narodowej, odbijają się tryumfalne okrzyki tłumów, jak hymny wdzięczności i potęgi twórczej; idzie cichy płacz matek i duma ojców, idzie — życie! wielkie, czynne i pełne! Życie słoneczne, istotne!!

Co się wyrwało z ramion bezpłodnych żalów i westchnień, niemrawych roztkliwień, co się zerwało z pościeli bezcielesnych pragnień i poszło jak płomień! jak piorun! — na krew, na śmierć, na cud — albo na zatracenie!

I cud narodowi przyniosło w krwawo spracowanych dłoniach!...

— — — — — — — — — — — — —

To wszystko, wszystko muszę zobaczyć, zapamiętać, i wszystko w siebie wchłonąć—i ile mi sił starczy, to wszystko wam przy moim małym, drewnianym stoliku opowiedzieć.

Imponującą jest siła budzących się narodów!

Mieczysław J.

**czilim* — dywan.
** *gospodża* — pani, gospodyni.
*** *aewojka* — dziewczyna, dziewoja.



Nasz korespondent bałkański p. Mieczysław J. przy „swoim małym drewnianym stoliku" pisze list dla „*Złotego Rogu*".



POTĘGA UCZUCIA.

Potęga uczucia! Pod takim nagłówkiem umieścił Maurycy Barrès niezwykle ciekawą impresję w gwiazdkowym zeszycie „Lisez-moi“. Barrès — jeden z najsubtelniejszych pisarzy doby obecnej, jeden z tych nielicznych, którzy posiadają rzadką zdolność pojmowania skomplikowanych poruszeń duszy francuskiej — wierzy w dzień jutrzejszy, a raczej... dopiero teraz uwierzył. Dojrzał zorzę nadziei, on, przepojony goryczą sceptycyzmu, z duszą przepaloną w ogniu fałszywych religji, utopijnych rojeń i teorji. Za dni anemicznych uniesień i bezsilnych walk z pustką i nudą — wytworny i znudzony umysłowiec ucieszył zmęczone oczy widokiem źródła tryskającego, rzecz dziwna, z gleby zatrutej miazmatami rozkładu. Oto co pisze:

„W tym tygodniu, ciekawość skłoniła mnie do wstąpienia między najniższe sfery ludu paryskiego. Pragnąłem się dowiedzieć, jakież perły osobliwe może stamtąd zaczerpnąć fantazja brukowych powieściopisarzy, wyobraźnia Homerów bandytyzmu, prostytucji i hańby. Chciałem się przekonać osobiście, czy istnieją tam skarby prawdziwego uczucia i czy przyszła rewolucja socjalna znalazłaby tam pierwiastki sprzyjające organizacji nowego, odrodzonego społeczeństwa“.

„I oto udałem się do najbardziej upodlonych i zwyrodniałych, do tych, których społeczeństwo tępi bez litości. Chciałem poznać tych ludzi zdegradowanych z winy swych obyczajów, nie uznających naszych praw, ani naszych instytucji, dla których obca jest nasza filozofja, nasza nauka i sztuka“.

„Jednego wieczoru udałem się na bal publiczny, gdzie zastałem towarzystwo, składające się z prostytutek, bulwarów zamiejskich.

Sala była chłodna, źle oświetlona, natłoczona i duszna. Młodzieńcy źle odziani, o gestach nagłych i nerwowych, bili się na pięście, biedne, młode dziewczęta, chore i sprośne, dziwacznie wystrojone, śmiały się ochrypłymi od przepicia głosami, żadnej dystynkcji, jeno chorobliwość, nędza i chuć.

Ah! — rzekłem do siebie — z tej zgnilizny, która przenika nasze społeczeństwo, jakiż atut cenny wyłoni się dla tej rewolucji socjalnej, której zadaniem będzie uzdrowić Francję?

Nagle orkiestra zaczęła grać polkę. Kawalerowie i damy, chwycili się w objęcia, z żywością młodych psów...

Krzyki, tupanie obcasami, kobiety o skrofulicznych, ciężkich wargach i wydatnych biodrach, małe postacie młodych bandytów — wszystko to tworzyło potworny, ale *pełen życia* obraz.

Muzyka, twarze wykrzywione, lubieżne uściski i dotyki — wszystko to mówiło mi o wyjątkowej wierności w uczuciach tych wirujących par, o szczerości i sile ich miłości: „Jesteśmy bagnem i hańbą, ale uczucia nasze sie są kłamane“.

Zbrodnia, poniżenie, ułomności fizyczne — wszystko to nie stanowi żadnych przeszkód dla tych, którzy się wybrali, którzy podali sobie zbrukane ręce, aby iść odtąd razem przez ciemne zakamarki występnego życia.

Miłość jest węzłem, który ich złączył, zerwali pęta społeczne, ale przez to bardziej jeszcze związali się łańcuchem wspólnej winy.

Zdawało mi się, że usta tych kobiet, mówią: „Należy kochać przez ból i lęk, aż do śmierci!“...

Młode dziewczęta z klasztorów Sacré - Coeur!, wasza miłość jest nazbyt ckliwa, jest w niej próżność i nieco zmysłowości, ale miłość tych wyrzutków społeczeństwa, dźwięczy dozgonną wiernością.

I trwa ta miłość poprzez męki Św. Łazarza, aż do gilotyny, niby pierścień ślubny, otrzymany nie z ręki mera lub księdza, jeno ściągnięty z palca zbrodniarza, któremu ona, Venus obejmowała nogi, podczas gdy on, Mars, zadawał ciosy“.

W tej potędze i sile uczucia śród zbrodniarzy, i prostytutek, na dnie społecznem, widzi Barrès groźną siłę, wielką i niepowstrzymaną, która jak dynamit wybuchnie, aby zburzyć stary, zmurszały gmach społeczny.

j. a.

Wystawa Towarzystwa Zachęty.

II.

Doroczny Salon Zachęty ma mieć znaczenie retrospektywne dla współczesnej sztuki polskiej. Artyści z całej Polski nadsyłają swe prace z których niemal każda, inny kierunek, inną osobowość reprezentuje. Mimo skromnego ilościowo obesłania, całość wystawy robi wrażenie chaotyczne z powodu wielkiej rozmaitości opracowania tematów, rozbieżności panujących prądów. Jeżeli z jednej strony bogactwo indywidualności artystycznych należy do czynników dodatnich, to znowu brak wspólnych znamionujących rasę i narodowość elementów świadczy o stanie naszych sztuk plastycznych ujemnie. Objektywna krytyka zagraniczna dzieli artystów polskich według miejscowości ich pobytu i studjów, a więc na malarzy polskich paryskich, monachijskich i krakowskich. Prócz tego podziału terytorjalnego znaleźćby trzeba inny, oparty na kategorjach wartości znamienniejszych.

Wypełnienie wszystkich ścian Towarzystwa Zachęty dziełami współczesnej sztuki nie jest równoznaczne z jej postępem.

Obrazy zwiezione z różnych stron Polski, rozwieszone obok siebie nie działają na nas li tylko barwnemi plamami.

Byłoby pożytecznem, gdyby salon spełniał swe zadanie celowo, zestawiając w jednej sali prace o charakterze dekoracyjnym,

w innej portrety, w innej krajobrazy. Wtedy salon zyskałby na przejrzystości i ułatwiłby widzom orjentację w różnorodnych kierunkach, których jest u nas tyle, iż doprawdy niewiadomo, co jest szczerem, do czego dąży się i o co walczy.

M. D.

Z FILHARMONJI.

Sympatyczne wirtuozki, siostry Mary i Beatrice Harrison, w świetnie dobranym programie wykazały szczere uczucie i wielką sprawność swych paluszków, dotykających strun skrzypiec lub wiolonczeli.

Grały więc z prawdziwem zrozumieniem koncert Brahmsa, na skrzypce i wiolonczelę, koncert Haydna (Beatrice) i Händla i Couperina (May).

Orkiestra wykonała ze zwykłą sprawnością utwory Händla i Revala.

Wogóle zaznaczyć należy, że bieżący sezon koncertowy w Filharmonji, jak pod względem doboru popisów solowych, tak i pod względem ogólnego kierownictwa stoi na wysokim poziomie współczesnych wymagań artystycznych.

Z.



„Poeci się żenią" — Bolesława Gorczyńskiego.

„Poeci się żenią"... dziwnie jakoś brzmi zestawienie tych wyrazów. Poeta, uosobienie *czegoś co* nie znosi więzów a tembardziej więzów hymenu — właśnie w więzy te z własnej i nieprzymuszonej woli wpada. Rzeczywistość nieraz przeczy ideałom, snutym przez poetów, zaprzeczyła i tym razem... w komedji „dobrodusznej" Bolesława Gorczyńskiego, bo oto, modny poeta zwabia do swego kawalerskiego mieszkania młodziutką panienkę z prowincji, urodziwą Wandzię i—po poetyckich, pozornie platonicznych pocałunkach (gdyż pan poeta miał jaknajszczerszy zamiar posiąść niewinne stworzenie) dowiaduje się że panna ma... 50000 rubli posagu! Suma ta jest dostateczną by stać na straży cnoty panieńskiej, tu bowiem już nie flirt przelotny lecz małżeństwo, tak, małżeństwo przystoi; do tego też zmierza młody „cygan".

Jest i drugi pan od literatury, dobrze podtatusiały już, taki pan Serda eks-dziedzic, który zaleca się do poważnej, starej panny, dziedziczki z Kujaw. Będzie miał pan Serda wioszczynę, będzie miał na starość to, co utracił w młodości. No, i t. d.

Może to jest pierwsza sztuka, w której Gorczyński naprawdę się śmieje, w której naprawdę jest dobroduszny. Choć... nie, i w tej sztuce nieraz inną nutę czujemy, jakby rezonans ironji, satyry, jakby echo odległe pessymizmu... Wszystko to zapewne dla serca czulszego brzmi tonem głębszym lecz załamuje jednak niekiedy ogólny styl sztuki. Gorczyński ma nerw sceniczny i scenę zna na wylot, nie uniknął jednak w *żeniących się poetach* pewnych przeciągnień w detalach, które może nawet nużą niekiedy, z całości jednak najlepsze osiągamy wrażenie — jest tam ten wyraz Gorczyńskiego i jest ten jego rozmach.

Artyści grali znakomicie, że wymienimy odtwórców główniejszych ról jak p. p. Lubicz-Sarnowską, Pichorównę, Szylinżankę, Frenkla, Brydzińskiego, Śliwickiego, Rolanda i Kawalskiego. Reżyserja bez zarzutu.

Scriba.



Bolesław Gorczyński,
autor nowej sztuki „Poeci się żenią".

Piętnastolecie „Kurjera Polskiego".

Gdy przed piętnastu laty powstawał *„Kurjer Polski"*, pismo nieznanego u nas doówczas typu, z ciekawością i niepokojem czekano: kto i jak prowadzić je będzie. Ciekawość i niepokój były usprawiedliwione; nowy dziennik iść miał między najszersze rzesze czytelnicze, jako roznosiciel nietylko nowin lecz i idei. Na czele *Kurjera* stanął Ludwik Straszewicz, i sprawa odrazu się wyjaśniła. Zrozumiano, że pismo będzie uczciwe, czyste, wolne od skandalu i kłótliwości, krzewiące zgo-



Ludwik Straszewicz,
redaktor *Kurjera Polskiego.*

dę, miłość Boga i kraju, pracowitość, zabiegliwość, wytrwałość—takie, słowem, będzie—jak jego kierownik.

Kurjer Polski zyskał odrazu uznanie i powodzenie, które z roku na rok rosły. Zbliżony formatem i układem do paryskiego *„Petit Journal'a"*, podawał starannie wybraną i umiejętnie przyrządzoną kwintesencję życia bieżącego. Zdobił się nawet początkowo rysunkami treści aktualnej; potem, przez czas długi, zamieszczał codziennie krótkie a wesołe i cięte feljetoniki. Główną wszakże wagę dawały mu doskonałe artykuły wstępne, pisywane niemal wyłącznie przez samego redaktora.

Pismo zdobyło zasłużone ze wszech miar powodzenie. W dziesiątkach tysięcy egzemplarzy rozleciało się po całej Polsce, Litwie i Białej Rusi. Jeszcze



Michał Roman, sekretarz redakcji. **Bohdan Straszewicz,** współredaktor. **Kazimierz Rolle,** referent działu politycznego.

15-lecie *Kurjera Polskiego*.

wówczas w tamtych prowincjach, prasy polskiej nie było, karmiły się one przeważnie petersburskim *„Swietem"* — pierwszą zasługą *Kurjera* było właśnie wyrugowanie *„Swieta"* ze wszystkich domów polskich na Litwie.

„Kurjer Polski" nie był i nie jest organem żadnego stronnictwa. Należy w nim widzieć wyłącznie organ Ludwika Straszewicza. A i Ludwik Straszewicz jest *tout court* Ludwikiem Straszewiczem, siewcą złotych ziaren miłości, społecznego ładu, ekonomicznej i politycznej samopomocy.

Ze zdolnościami redaktorskiemi łączy Straszewicz duży talent pisarski. Jego artykuły są żywe, gorące, płomienne. Często wyglądają, jak wybuchy przepełnionego uczuciem serca.

Dzielnego towarzysza i współpracownika pozyskał *Kurjer* w osobie p. Michała Romana. Ten cichy, bezimienny, rzadko tylko drobnymi inicjałami prace swe podpisujący publicysta, więcej położył zasług dla prasy polskiej i społeczeństwa niż niejeden z rozgłośnych, bo samochwalczych i reklamujących się, tuzów dziennikarskich.

Sztab redakcyjny *Kurjera* uzupełniają: p. Kazimierz Rolle, głębokomyślny a spokojny polityk, oraz p. Bohdan Straszewicz, syn redaktora, dziedzic nietylko jego imienia lecz zasad i umiłowań.

Po piętnastu latach uczciwej i owocnej służby publicznej, należy się *„Kurjerowi Polskiemu"* prócz słów szczerego uznania, życzenie jaknajdłuższej służby obywatelskiej.

NOWY SZPITAL.

Znane jest imię hr. Julji Aleksandrowiczówny, niezmordowanej pracowniczki na polu pielęgnowania i szpitalnictwa.

Dziewięć lat temu z jej inicjatywy powstało Tow. Opieki nad chorymi niezamożnymi pod wezwaniem św. Antoniego a na dożywotnią przewodniczącą Towarzystwa powołano inicjatorkę hr. Aleksandrowiczównę.

W pierwotnym lokalu T-wa nie było przestronnie i wygodnie, skromne ambulatorjum ledwo że mogło wystarczyć na opatrywanie licznych biedaków, którzy cisnęli się do pożytecznego zakładu.

W 1909 r. zdołano jednak, dzięki dość liczny mofiarom, nabyć dom przy ulicy Topiel № 14 gdzie też przeniesiono ambulatorjum. Następnie z ofiar i składek członkowskich powiększano ambulatorjum, uzupełniano narzędzia do operacji, założono w końcu formalny już szpital, którego poświęcenia dokonał w tych dniach ks. biskup Ruszkiewicz, administrator archidjecezji warszawskiej. Uroczystości otwarcia asystowało liczne grono osób ze świata naukowego, zaproszeni goście oraz personel szpitala z hr. Aleksandrowiczówną na czele.

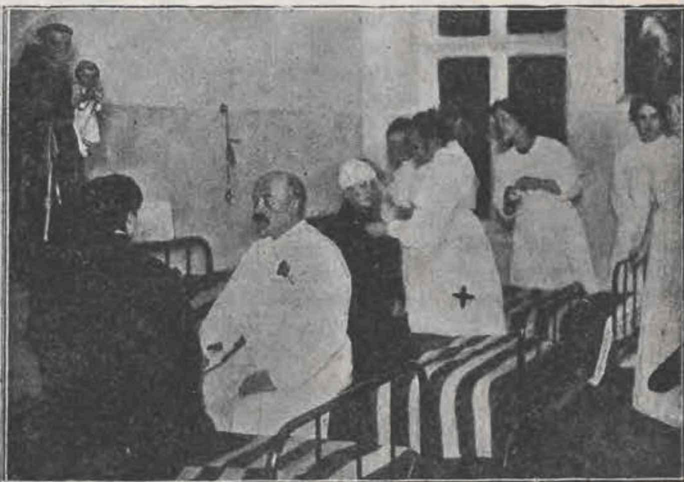
W szpitalu mieści się dwadzieścia łóżek, poza tem jest wygodna sala operacyjna i opatrunkowa, sterylizacja, pracownia bakterjologiczna, apteka i t.d. A wszystko to oświetlone elektrycznością, ogrzane centralnymi piecami i zaopatrzone we wszelkie najnowsze urządzenia.

Naczelnym lekarzem szpitala jest dr. Skowroński, ambulatorjum pozostaje pod kierownictwem d-ra Wiśniewskiego a dział chirurgji prowadzi dr. Leśniowski.

Życzymy serdecznie dalszego rozwoju pożytecznej instytucji.



Sala opatrunkowa i chirurgiczna. Hr. Aleksandrowiczówna (×), dr. Skowroński i asystentki podczas opatrywania dziecka.



Sala szpitalna. Hr. Aleksandrowiczówna (×) opatruje chorą, dr. Skowroński bada pacjentkę, w głębi asystentki.

Czytelnicy, którzy nabędą numer bieżący w naszej administracji lub w kolportażu, będą mogli nabyć w cenie zniżonej do 15 kop. nasz numer noworoczny wraz z portretem ks. Józefa Poniatowskiego. Numer ten kosztuje kop. 30.

Miecz i dyplomacja.

Gdy bułgarzy rozpoczynali wojnę, hasłem ich było: „Odrin (Adrjanopol) musi być bułgarski“ — bo Odrin, — to najstarsze źródło tradycji bułgarów na Bałkanach. Błyskawicznie szybko zajmowali bułgarzy punkt po punkcie, oparli się o Adrjanopol, minęli, zajęli Kirk-Kilissę, Czorlu, podeszli pod linję obronną Czataldży — Adrjanopol zaś pozostał w rękach tureckich. A w tymże Adrjanopolu muzułmanie stworzyli w ciągu wieków nową tradycję, swoją własną, otoczoną również wspaniałą aureolą, jak bułgarska.

O Adrjanopol oparły się zwycięskie hufce bułgarskie, o Adrjanopol rozbiły się rokowania. Bułgarzy nie chcą a poniekąd nie mogą zrzec się tego, co było hasłem wojny; — turcy nie mogą i nie chcą zrzec się tego, czego nie zabrano im siłą. Nawet zniewolonego głodem Adrjanopola turcy nie oddadzą dobrowolnie. Dla rządu tureckiego raczej wojna dalsza jest korzystniejszą, niż takie przyznanie się wobec całego świata muzułmańskiego do bezsilności.

Wszystko to było wiadome w chwili rozpoczynania rokowań pokojowych. Z góry można było przewidzieć ich niepowodzenie. Zresztą nie ulega wątpliwości, że strony rokujące były na to niepowodzenie przygotowane. Mocarstwa domagały się tych rokowań; Turcja i państwa bałkańskie zgodziły się na nie w myśl zasady: „kupić, nie kupić, potargować można“. Turcja zwłaszcza miała nadzieję, że na rokowaniach tych dobrze wyjdzie, dzięki poparciu mocarstw. Przecież bułgarzy i serbowie, rozpoczynając wojnę, stanowczo oświadczali, że im nie idzie o zdobycze terytorjalne, lecz o wyzwolenie swych rodaków w Macedonji i Starej Serbji. Przecież mocarstwa w chwili rozpoczęcia wojny wyraźnie zapowiedziały, że nie pozwolą na naruszanie istniejącego stanu rzeczy.

Turcja miała pewną podstawę do przypuszczeń, że w czasie rokowań owe oświadczenia będą wzięte pod uwagę. Zawiodła się — a gdy zrozumiała, że rokowania żadnych jej nie przyniosą korzyści, postanowiła dawnym



Podpisanie francusko-hiszpańskiego traktatu marokańskiego przez pełnomocników obu państw w ministerjum spraw zagr. w Madrycie.



Książę Konstanty grecki obchodzi jeńców — wziętych pod Monastyrem.



Król Ferdynand bułgarski (×) i podczas zawieszenia broni codziennie konferuje ze swym sztabem.



Generał Mehmed Szukri-pasza, który za dzielną obronę Adrjanopola ma otrzymać tytuł „Ghasi“ (Niezwyciężony).

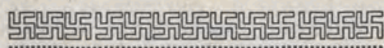
swym zwyczajem odwlekać chwilę zerwania: jeszcze dzień, jeszcze dni kilka, może się przez ten czas stanie coś takiego, co zmieni fatalny dla Turcji bieg wypadków.

Ten system odwlekania przypadł też wielce do gustu dyplomacji europejskiej, dla której niepowodzenie rokowań dotkliwszem jest niż dla stron walczących.

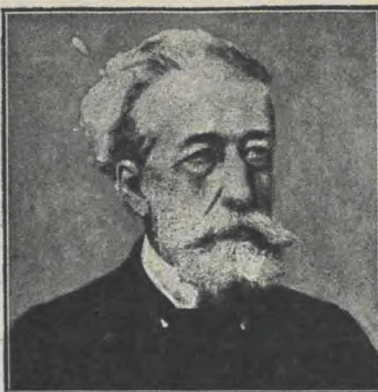
Wznowienie wojny na Bałkanach jeszcze bardziej zaostrzyłoby sytuację obecną, zwłaszcza, że wznowiona wojna prawdopodobnie trwałaby czas dłuższy, obie strony bowiem w ciągu przerwy, spowodowanej rokowaniami w Londynie umocniły się na swych pozycjach i znacznie powiększyły swe szeregi wojenne. Turcja niewiele już ma do stracenia w Europie, z której prędzej czy później — całkowicie zostanie wyparta. Stawianie oporu do ostatka będzie usprawiedliwieniem kierowników państwa tureckiego, wobec świata muzułmańskiego w Azji. A dziś już tylko o to usprawiedliwienie może iść turkom.

Ale każde dalsze zwycięstwo, odniesione przez serbów czy bułgarów nad turkami, dolewa oliwy do ognia niebezpieczeństw, jakie zawisły nad Europą, a głównie nad Austrją. Na kongresie berlińskim już powiedziano: „Bałkany będą grobem Austrji“. Trzydzieści lat od tej chwili minęło, a przez ten czas Austrja, uległa wskazówkom z Berlina, własnemi rękami grób ten kopała, wysilając się na wszelkie sposoby, aby z serbów, pragnących być jej przyjaciółmi, wrogów sobie uczynić. Dziś doszło do tego, że cała Europa musi czynić wysiłki, by nie dopuścić do starcia między Austrją a Serbją, iskry, wynikłe z tego starcia mogłyby rozniecić ogólny pożar europejski.

h. m.



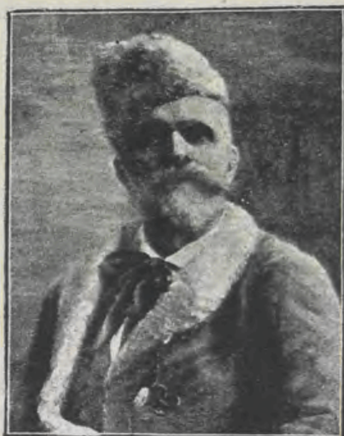




Ś. p. Ks. Jerzy Czartoryski.



Ś. p. dr. Józef Swinarski.



Ś. p. Adam Poraj-Biernacki,
podług portretu wykonanego przez córkę, utalentowaną artystkę-malarkę p. Anielę Poraj-Biernacką.



Ś. p. Edward Gładysław,
artysta-malarz.

Ś. p. ks. Jerzy Czartoryski.

W Wiedniu zmarł ks. Jerzy Czartoryski, który przebywał tam czasowo, przyjechawszy w interesie sprzedaży posiadłości p. n. „Weinhaus“, którą odziedziczył był jeszcze po ojcu ks. Konstantym, jenerał-adjutancie cesarskim.

Książę nie zasklepiał się w ciasnym konserwatyzmie, przeciwnie idee postępu bliższy miały do niego dostęp. W życiu literackiem również odgrywał nieraz dość wybitną rolę, że wspomnimy choćby o tak znanem w swoim czasie wydawnictwie artystycznem, jak *Monatschrift für Theater und Musik*, które książę sam podjął i kierował.

Poza godnością posła w sejmie i w parlamencie, na których to stanowiskach z godnością bronił zawsze sprawy narodowej, Ks. Jerzy również był szereg lat prezesem kółek rolniczych i wielkie zasługi położył w tym kierunku, pracując nad podniesieniem oświaty małorolnych, przez organizowanie odczytów i t. d. Pamiętał również o szkołach ludowych i szczególną otaczał je opieką.

Jednem słowem działalność księcia była tak wszechstronna i tak w każdym kierunku pożyteczna, że podziw tylko może dziś wzbudzać w każdym, kto owoce jej należycie ocenić umie.

Szlachetna postać ks. Jerzego zasłużyła sobie na długotrwały pomnik w pamięci polskiego społeczeństwa.

Ś. p. Adam Poraj-Biernacki.

W swych dobrach rodzinnych Wielka Wola i Czyste pod Warszawą, zmarł ś. p. Michał Adam

W tym miesiącu nastąpi rozlosowanie pierwszych czterech obrazów

Poraj-Biernacki, w wieku lat 89. Zmarły był fundatorem kościoła św. Stanisława Wawrzyńca na Woli, a jako człowiek współczującego serca na niedolę ludzką, nieraz łożył na cele dobroczynne i użyteczności publicznej. Ubył zacny i szlachetny obywatel kraju.

Ś. p. Dr. Józef Swinarski.

W Genui zmarł ś. p. dr. Józef Swinarski, przeżywszy lat 42. Zmarły był znanym okulistą i stale zajmował się praktyką w Lublinie, gdzie też bezinteresownie leczył wielu biedaków i czynił dużo dobrego, organizując choćby n. p. przedstawienia amatorskie na cele dobroczynne i biorąc również udział w działalności instytucji filantropijnych i społecznych.

Człowiek o wysokiej kulturze literackiej, interesował się teatrem, pisywał sprawozdania, krytyki, należał do komisji artystycznej i zarządu lubelskiego T-wa przyjaciół teatru polskiego.

Śmierć zabrała dzielnego pracownika na niwie nauki i prawego członka społeczeństwa.

Ś. p. Edmund Gładysław.

W biedzie, na chorobę piersiową, na ogólnej sali szpitala św. Rocha zmarł w wieku młodzieńczym wielce utalentowany malarz-artysta ś. p. Edmund Gładysław. Jedna więcej ofiara, jedno więcej nazwisko zapisane na karb obojętności naszego społeczeństwa, gdy chodzi o szlachetny prawdziwy artyzm, wyzbyty samoreklamy i unikający względów protekcji.

Urodzony w 1888 r. ś. p. Gładysław średnie nauki pobierał w Pinczowie, poczem ukończył z kilkoma medalami krakowską akad. szt. pięk. Zdobywszy w 1910 r. stypendjum im. Simmlera, wyjeżdża do Włoch, gdzie dalej studjuje, a powróciwszy do kraju wystawia w Tow. Zach. Szt. Pięk. (Salon 1911 r.) prawdziwie piękne obrazy „Na Arnie“ i „Autoportret“. Zmarł artysta, rokujący najpiękniejsze nadzieje.



A. Kiderlen-Waechter,
zmarły w Sztutgardzie sekretarz niemieckiego urzędu spraw zagranicznych.

Do mojej Beatrycze.

Tyś jest ogrodem rajskim,
aniele mych rzewnych pieśni...
Twa buzia ma różaność
brzoskwiń, nektaryn, czereśni...

Twe usta są jak wiśnie,
Lub jak granatów jagody...
Twe oczy szmaragdowe —
Kuszą słodyczą renklody...

Dlaczego cudny sadzie
wciąż ze mną poczynasz sprzeczki?
Czemu masz dla mnie cierpkość
cytryny albo porzeczki?

Kiedym jest czasem smutny,
gdy pełen rozpaczy jestem,
bądź mi maliną słodką,
a nie kolczastym agrestem.

I. Ejsmond.

Różom, liljom i fjołkom.

Znam róże, lilje i fjołki,
(dziewczyny boskiej urody).
Do róż, do lilji, do fjołków
piszę sonety i ody.

Kocham i róże i fjołki
i lilji kwiaty dziewicze
i jestem złocistą pszczółką,
która z nich czerpie słodycze.

Jak w ule, w książeczki wierszy
zbieram najsłodsze ich miody.
Ich wdzięk niewieści przetapiam
w sonety, stance i ody.

I. Ejsmond.

№ 53 „Złotego Rogu“ polecono skonfiskować za nowelę Daniłowskiego p. t. „Przechodzień“.



Wspaniałym dokumentem w historji rozwoju ogrodnictwa krajowego jest świeżo wydany cennik nasion firmy C. Ulrich. Pod względem artystycznej formy i bogactwa treści, cennik ten zaszczytnie wyróżnia się z pośród innych tego rodzaju wydawnictw, nie wyłączając nawet i zagranicznych.

Sto dziewięć lat mija od chwili założenia zakładu ogrodniczego C. Ulrich, który z widoczną zabiegliwością stara się o utrzymanie ustalonej już sławy, pozyskanej dobrocią dostarczanych drzew i nasion. Przesłany do redakcji „Złotego Rogu“ cennik na rok 1913, przyozdobiony wytworną okładką, wykonaną przez art. mal. L. Lewandowskiego, zawiera około 2000 odmian nasion i 500 narzędzi ogrodniczych, zaopatrzonych w stosowne objaśnienia i liczne ilustracje. Jest to wielką zasługą najstarszej w kraju firmy, że artystyczną formę swoich wydawnictw stale łączy z najnowszemi zdobyczami na polu ogrodnictwa. Ostatni cennik C. Ulricha śmiało zaliczyć można do wartościowych przewodników, dla osób sprawą kwiaciarstwa i warzywnictwa bliżej zainteresowanych.

Konstancja Bielska. „Separatka,“ powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 394.

Artur Gruszecki. „Królewiacy,“ powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 454.

Janusz Korczak. „Sława“, opowieść. Okładka i ilustracja Józefa Toma. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa. G. Centnerszwer i Sp. Kraków. S. A. Krzyżanowski, 1913. Str. 87.

Bolesław Gnoiński. „Rok 1812“ wydanie drugie, str. 116. i „Manewry w r. 1824“ str. 154. Nakład księgarni Jana Fiszera, Warszawa.

Z PRASY.

„Tydzień“ Od niedawna wychodzące w Warszawie pismo p. t. „*Tydzień*“ weszło niewątpliwie z szczerym zapałem na drogę uczciwego postępu, wyzbytego wszystkich tych czynników, któreby wprowadzały niezgodę lub zamęt w jednolitości naszego życia społecznego. „*Tydzień*“ otworzył łamy swe przeważnie młodym, utalentowanym pisarzom, których obowiązkiem będzie rozumna walka ideowa przeciw owej swojskiej reakcji i bierności paraliżującej przecież nasze życie kulturalne. Prócz działu społecznego mamy również w piśmie dział naukowy i literacki. Jako redaktor i wydawca podpisuje pismo p. Jerzy Jankowski.

„Kurjer Ilustrowany“. Od 1 stycznia wychodzi w Warszawie pod redakcją p. J. Librowicza dziennik p. t. „*Kurjer Ilustrowany*“. Myśl wydawnictwa codziennego, ilustrowanego, była bardzo dobra, jest to bowiem pierwsza gazeta tego typu u nas w kraju, szczerze też życzyć należy by pismo, pokonawszy pierwsze trudności, stanęło na równi a bodaj nawet przewyższyło tego rodzaju pisma na zachodzie. *Z.*

Czas odnowić prenumeratę na kwartał I — r. 1913.



Komitet ratunkowy.

Przesilenie i głód, — to są dwa zjawiska, które obecnie swoimi ponurymi cieniami przykrywają wszystko. Łódź się nie bawi — Łódź płacze z głodu i niedoli. Ci, co się bawią, to jakaś drobna cząstka, to piana na powierzchni głębokiej, ponurej rzeki.

To też poruszono wszystkie sfery celem zorganizowania chociaż dorywczej akcji ratunkowej. Zwołano ogólne zgromadzenie obywatelskie, w którem wzięło udział sto kilkadziesiąt osób z różnych sfer społeczeństwa. Zaproszono także najbardziej i bezpośrednio interesowanych: robotników, których jednak przybyła garstka, stosunkowo niewielka, a i ci prawie nie zabierali głosu. Dlaczego? — Czy nie wierzyli w skuteczność i szczerość takiej akcji ratunkowej? Czy może dla nich była nazbyt bolesna sama myśl, że stanęli na poziomie nędzarzy z wyciągniętą ręką żebraczą? — Trudno do głębi przeniknąć tę psychologję ludzi, znękanych i przybitych, pozbawieniem zarobków i wszelkich środków do życia.

Według danych, które pastor Gundlach zakomunikował zebranym, pozostaje w chwili obecnej około 10 tysięcy robotników, zupełnie pozbawjonych pracy, nadto 20 tysięcy takich, którym tr zeba udzielać pomocy częściowej, pracują bowiem tylko połowę tygodniówki, a więc w takich warunkach pracy, nie wystarcza im zarobków na najniezbędniejsze potrzeby życia.

Komitet ratunkowy ma na celu udzielanie pomocy tylko robotnikom — ofiarom przesilenia ekonomicznego.

Podczas dość długiej dyskusji były głosy występujące przeciwko akcji zapomogowej, jako demoralizującej. Natomiast całkiem słusznie żądano zorganizowania zarobków dla rzesz pozbawionych pracy. Przypomniano przy sposobności o istnieniu funduszu „cholerycznego“ w sumie 36,000 rb. Jeden z mówców, p. W. Kamiński, proponował pozyskanie tych pieniędzy dla komitetu przeciwgłodowego.

Bardzo niewłaściwie i nie na miejscu poruszono sprawę, czy należy powoływać do komitetów honorowego i czynnego—żydów. Znaleźli się rzeczywiście przeciwnicy akcji wspólnej. Na szczęście była to garstka nieznaczna. Natomiast olbrzymia większość żądała wspólnej akcji. Najsilniej podkreślił tę konieczność wspólnej pracy dr. Sterling, który zaznaczył, że komitet powinien być nie wyznaniowy lecz obywatelski, nadto dowodził, że do akcji ratunkowej należy wciągnąć fabrykantów żydów, u których pracują dziesiątki tysięcy robotników chrześćjan.

Do komitetu honorowego weszły następujące osoby: gubernator piotrkowski, prezydent m. Łodzi, panie: A. Scheiblerowa. G. Grohmanowa, A. Herbstowa, D. Leonhardowa, Gustawowa Geyerowa, Eugenjuszowa Geyerowa, Emilowa Geyerowa, Bennischowa, Schweickertowa, bar. Heinzlowa, Franciszkowa Kindermanowa, Daubowa, Józefowa Gampe, Konstadtowa; panowie: prezes G. Herbst, G. Leonhardt, N. Daube (senior), Z. Richter, K. Eisert, N. Watten, ks. Gniazdowski, S. Silberstein, M. Poznański, J. Hertz.

Do komitetu czynnego weszli: p.p. A. Osser, E. Heiman, A. Daube, (junior), wszyscy księża proboszczowie i pastorzy (z wyjątkiem pastora Angersteina), O. Schweickert, J. Kinderman. T. Meyernoff, M. Sprzączkowski, dyr. Gajewicz, W. Hordliczka, inż. Bzowski, W. Kamiński, mecenas Babicki, dr. Skalski, dr. Sadkowski, dr. Gloger, inż. Holz, inż. Koźmiński, dyr. Kloss, A. Roszkowski, J. Stephanus, dyr. Świerczewski, Wocalewski, oraz redaktorzy pism miejscowych. Oba komitety mają prawo rozszerzyć liczbę członków, przez kooptację. Komitet czynny będą kooptować ze sfer robotniczych.

Przy sposobności poruszono szereg projektów, wchodzących w zakres skutecznej akcji ratunkowej, jak zniżenie komornego dla robotników, uwzględnianie przy robocie ludzi, obarczonych rodziną, dalej—zniesienie zakazu prowadzedzenia robót budowlanych, przy których ma zarobek około 12,000 robotników, wreszcie prowadzenie robót miejskich w ciągu zimy, jak: brukowanie ulic, regulacje i wiele innych. Proponowano przy tem, ażeby fabrykanci płacili składkę proporcjonalnie do liczby robotników, zajętych w czasie normalnym.

Do zbierania składek komitet przystąpi natychmiast po załatwieniu formalności urzędowych.

Jakkolwiek w powyższej formie akcja ratunkowa nie zapobiegnie radykalnie klęsce, nie usunie całkowicie nędzy śród robotników, pozbawionych pracy, ale bądź co bądź przy usilnych zabiegach może w znacznym stopniu złagodzić niedolę. Przytem należałoby rozwinąć możliwie najenergiczniejsze, najusilniejsze zabiegi w sprawie rozszerzenia robót i nadania im ciągłości.

Zenon Pietkiewicz.

Owoce wystawy przemysłowo-rzemieślniczej.

Wystawa, która przez całe lato ożywiała Łódź i wniosła do życia ekonomicznego wiele czynników dodatnich, po zamknięciu wywołała rozgoryczenie i zarzuty, oraz pewien przykry

rozdźwięk odłamu łódzkiej Resursy rzemieślniczej, który nawet groził rozłamem i dezorganizacją w pracy owocnej. Czyniono zarzuty, że wystawa była mocno wyzyskaną w celach osobistych, że wkradły się nieporządki w rachunkach, że robiono niepotrzebne wydatki — wogóle sprawa publiczna zaczęła schodzić na manowce prywaty a rezultatem tego było zniechęcenie do pracy publicznej jednostek, które mogłyby niejednokrotnie przynieść pożytek ogólny.

Zdaje się, że tym wielce niepożądanym objawom położy kres nareszcie ostateczne sprawozdanie rachunkowe, do którego warto zajrzeć.

Ogółem osiągnięto 24,032 rb. 25 kop. Z sumy tej Resursa rzemieślnicza ma zapłacić jeszcze na pokrycie różnych wydatków 8095 rb. 87 k., pozostanie zaś czystego zysku 15,936 rb. 38 kop.

Jest to, bądź co bądź, rezultat świetny i nawet niebywały. Żadna wystawa u nas nie dała dochodów i jeżeli nie przyniosła straty to było już bardzo dobrze. Wystawa łódzka zaś dała fundusz podstawowy, który pozwoli Resursie rzemieślniczej w znacznej części oczyścić hipotekę i zdobyć się na własny gmach dochodowy. Jest to fakt niezmiernie ważny, gdyż posiadanie własnego gmachu, wolnego od uciążliwych procentów, to podstawa do organizacji ekonomicznej rzemieślników, skupionych we własnem ognisku. Już niejednokrotnie zaznaczyliśmy, że Resursa rzemieślnicza w Łodzi, pomimo krótkiego jeszcze istnienia, wykazała już swą wielką ruchliwość i żywotność. Nie jest ona tylko klubem, lecz jak wykazuje szeroka ustawa, jest *instytucją*, jest *Towarzystwem*, którego główne zadania polegają na organizacji ekonomicznej rzemiosł, na ułatwianiu sposobów orjentowania się w ogólnem położeniu i warunkach rzemiosł naszych. Jest nadto, instytucją samokształcącą. Dla tego to przywiązujemy tak wielką wagę do materjalnych owoców wystawy. Resursa organizując się, wykazała swą wielką sprawność i nadzwyczajną zdolność samopomocy. To też wszelkie usterki, wszelkie błędy zrobione z pośpiechu lub braku doświadczenia, znikają zupełnie, a ostre zarzuty, czynione organizatorom za to, nie mają najmniejszej racji. Życzyć należy, ażeby Resursa rzemieślnicza nie miała nigdy gruntu, przyjaznego dla prywaty, dla ambicji i ambicyjek osobistych. Dla dobra ogólnego trzeba nietylko się wyrzec, owych ambicji i aspiracji, ale nawet poświęcić coś więcej: znieść przykrości, — owe największe czynniki zniechęcające do pracy społecznej.

Heron.

DO CZYTELNIKÓW.

Sz. Prenumeratorów „Złotego Rogu", którzy w pewnych okolicach Królestwa i Cesarstwa otrzymali № 1 (noworoczny) z opóźnieniem parodniowem, przepraszamy niniejszem, prosząc również o wyrozumiałość, opóźnienie bowiem spowodowane zostało wskutek nadspodziewanego napływu nowej prenumeraty, nie mówiąc więc już nawet o formalnościach pocztowych, i personel naszej administracji nie mógł podołać tak niepomiernie wzmożonej pracy. Tego rodzaju niespodzianki nieuniknione są nieraz w okresie noworocznym.

Administracja.

Trafne rozwiązania łamigłówek w terminie właściwym nadesłali:

Z Nr. 52. „Stanisław Krzemiński". — Tadeusz Chmielewski, Zosieczka Morawska, Ela Dziemska, Witold Trojanowski, „Oleś K.", Józef Dzierża, Z. Wiśniewski, St. Dąbrowski, J. Este, „Zygmuś", S. Trzcińska, W. Dąbrowski z Warszawy, E. Bocianowski ze Szczuczyna, Jan Wosiński z Jaziewic, Marceli M. z Kielc, P. M. Czudowski z Łomży, Mila Dzikowska z Jarmoliniec, St. Słonimski z Petersburga, B. Tański z Kijowa, „B. S." z Charkowa.

Z Nr. 53 „Tadeusz Rejtan"—P. M. Czudowski z Łomży, „Ola" z Warszawy, Krzesiński z Warszawy, Oleńka z Zamościa.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktor **Feliks Kwaśniewski.** Kierownik liter. **Wacław Grubiński.**



Femina.

[2] Białe niewolnice.

(Dokończenie).

Tymczasem siostra zniknęła uprowadzona oczywiście przez jakiegoś wspólnika, może wprowadzona w błąd, że brat czeka na nią w pociągu, który już — już odchodzi. Wszelki ślad po niej zaginął; daremnie zrozpaczona rodzina w kraju i w Ameryce szuka jej od pół roku. Oczywiście nie znajdzie jej nigdy; ona sama prawdopodobnie nie wie, gdzie się dziś znajduje. Istnieje tyle sposobów dla zmylenia śladów. Najprzód fałszywy paszport, który zresztą w drodze zastąpić można innym również na fałszywe nazwisko wypisanym, a którego jej wcale do rąk nie dadzą. Powtóre nagłe zmiany kierunku podróży. Z genueńskiego portu odjeżdża corocznie około 1200 młodych, przeważnie 16 letnich cudzoziemek. Na Malcie okręty, wiozące żywy towar, spotykają się i następuje przeładunek. Ta, która wsiadła na statek odpływający do Egiptu, może się znaleźć w Konstantynopolu, Lizbonie, lub Buenos Ayres.

Jeszcze jedna mylna wersja krąży wśród publiczności, mianowicie, że żywy towar eksportowany od nas stanowią wyłącznie żydówki. Trudno ustalić statystykę. Żydówek jest niewątpliwie duży procent a obyczaje żydów sprzyjają bardzo temu wywozowi ułatwiając symulowane małżeństwa i utwierdzając kobiety w przekonaniu, że jakiekolwiek małżeństwo jest czemś bez porównania wyższem niż zawsze hańbiące staropanieństwo. Faktem przez nikogo niezaprzeczonym, jest również, że handlarzami żywego towaru są nieomal wyłącznie żydzi. Z tego jednak wcale nie wynika, aby mieli oni prawie wyłącznie żydówkami handlować. Szukają oni towaru, na jaki jest najlepszy zbyt. Wzrost, tusza, kolor włosów, rasa, wiek, wszystko gra tu rolę i wszystko uwzględniać trzeba, gdyż od tego zawisła cena i wysokość



Białe niewolnice. Dziewczęta w wieku t. zw. „podlotków" najbardziej są narażone na niebezpieczeństwo.

zysków. Jest to po prostu handel, jak każdy inny wymagający znajomości rynków zbytu, kunjuktur handlowych, środków transportu i dokładnej kalkulacji. Olbrzymie, nieprawdopodobne zyski osiąga się tu przez zupełne opanowanie nieszczęsnych przedmiotów handlu sprowadzające do minimum koszt ich utrzymania a do nieprawdopodobnego maksimum eksploatację ich ciała. Wagener — sekretarz międzynarodowej żydowskiej ligi zwalczania handlu żywym towarem — pisze, że wedle jego danych każda taka biała niewolnica po miesiącu eksploatacji w domu publicznym dostaje się do szpitala. Możnaby sądzić, że przedsiębiorcy tracą na tak szybkiem niszczeniu towaru, że we własnym, dobrze zrozumianym interesie muszą go oszczędzać. Opiera się to na złudzeniu, że ludzie tak pozbawieni czci i wiary, że całe masy kobiet spychają bezwzględnie i brutalnie na samo dno upadku i poniewierki, bardzo skrupulatnie liczą się ze zdrowiem i bezpieczeństwem swej męskiej klijenteli. Jest to oczywiście naiwne zaślepienie. Żadnemu przedsiębiorcy tej kategorji nie zależy na tem, by jego towar był naprawdę zdrowy, lecz żeby za zdrowy uchodził. Do czego się redukuje gwarancja bezpieczeństwa polegająca na rewizji lekarskiej, świadczą fakty ujawnione w kilku procesach przeciw handlarzom żywym towarem w Wiedniu, Berlinie, Paryżu i Stanach Zjednoczonych. W domach publicznych, gdzie na jedną prostytutkę wypadało 30 gości na dobę, lekarska rewizja odbywała się dwa razy tygodniowo. Chore idą do szpitala; po krótszej lub dłuższej kuracji wycofane przez owego właściciela lub właścicielkę, bądź to wracają do poprzedniego więzienia, bądź też odprzedawane lub wymieniane zjawiają się w innej jaskini rozpusty jako zupełnie świeży nabytek. Taka wymiana odbywa się nieustannie, co oczywiście niezmiernie utrudnia poszukiwanie każdej zaginionej i straconej dziewczyny. Jakkolwiek koszt nabycia jest ogólnie biorąc dość wysoki, kapitał ulokowany w tym handlu procentuje się w tych warunkach świetnie. W Ameryce przychwycono w ostatnich latach małżeństwo trudniące się tym haniebnym procederem. Po złożeniu kaucji w wysokości przeszło 50000 rubli, uwięzieni, zostali wypuszczeni na wolną stopę i natychmiast znikli.

Oczywiście strata tej sumy nie wiele znaczyła dla ludzi miewających po dwieście kilkadziesiąt tysięcy dochodu rocznie. Podobny stan rzeczy ujawniono i w innych procesach.

Zachodzi pytanie, dlaczego właśnie z naszego kraju tak wielki odbywa się eksport. Prowdopodobnie gra tu rolę wiele czynników. Jednym z nich jest silny prąd emigracyjny i to wszystko, co go wywołuje, to jest stosunkowo wielka gęstość zaludnienia przy niekorzystnych warunkach pracy. Kraj nasz po Włoszech jest w Europie najobfitszem źródłem wywozu siły roboczej, zasila on wszystkie rynki pracy i bezludne terytorja zamorskie, surowym i tanim materjałem ludzkim pokrywając różnorodne zapotrzebowania. Amerykańskie kopalnie i huty, rzeźnie i fabryki konserw mięsnych—wszystkie te przedsiębiorstwa, które najcięższą i najmniej wykwalifikowaną pracę jaknajtaniej nabywać usiłują — posiłkują się polskim robotnikiem. Polski osadnik jest pożądanym nabytkiem dla dziewiczych ziem pozbawionych najniższej nawet kultury. Polskie dziewczyny służą do zapełnienia lupanarów w dalekich, licznie przez marynarzy i żołnierzy uczęszczanych fortach lub miastach wyrosłych w szybkiem tempie na tle świeżego osadnictwa, w którem zawsze żywioł męski przeważa. Werbunek odbywa się na rozmaitych polach, eksploatacja przybiera różne formy, a najohydniejsze w stosunku do kobiet.

Z innych wskazówek wolno wnosić, że kraj nasz dla kobiet bynajmniej rajem nie jest. Potwornie, nieproporcjonalnie wysoki procent samobójstw kobiecych w Warszawie i na prowincji świadczy, że cały zwrot naszych stosunków ekonomicznych, społecznych i obyczajowych sprzyja wykolejaniu się ludności żeńskiej i popycha jej niezmiernie wysoki odsetek do rozpaczliwych kroków.

Dalszym czynnikiem sprzyjającym rozwojowi tego haniebnego procederu jest obecność licznej ludności żydowskiej, która go— jak wiemy—niemal zmonopolizowała w swojem ręku. Korespondencja handlowa w tej branży prowadzona jest w żargonie. W końcu — last notleast — miejscowe porządki i nieporządki redukujące do minimum bezpieczeństwo i nietykalność osób, mieszkań prywatnych, własności i tem sprzyjające krzewieniu się bandytyzmu, zapewniają też najlepsze szanse bezkarności dla handlarzy żywego towaru. Tam gdzie władza okazuje się bezsilna w poskramianiu nadużyć najbezpośredniej ją dotykających, trwonienia

pieniędzy skarbowych i łupienia kas publicznych nie można po niej oczekiwać bardzo sprężystego tropienia złoczyńców tak dobrze zamaskowanych i rozporządzających tak obfitymi środkami pieniężnymi.

Trudno też się łudzić, aby nawet najgorliwsza, z największem poświęceniem sił, pracy i kosztów prowadzona akcja lokalna mogła do pożądanych prowadzić rezultatów. Tam gdzie rozbój dokonywa się na szerokich wszechświatowych traktach, gdzie spekulacja łotrowska obejmuje wszystkie stare i nowe lądy, pościg za złoczyńcami musi też przybrać charakter wielkiej międzynarodowej kampanji, w której ani jeden posterunek nie może pozostać martwym i bezczynnym. Nietylko źródła wywozu i rynki zbytu lecz ogniska tranzytowego handlu i wszystkie jego poszczególne agencje muszą być w równej mierze śledzone i tropione przez skoordynowane oddziały wszechświatowej ligi. Dla odszukania jednej zaginionej dziewczyny trzeba czasem poruszyć biura opieki i konsulaty kilku krajów lub nawet kilku części świata. Podobno angielska Armja Zbawienia w ciągu trzech lat wydobyła z domów rozpusty około 9 tysięcy kobiet. U nas oczywiście żadne z istniejących towarzystw ochrony kobiet nie może marzyć o podobnych rezultatach w dającym się przewidzieć terminie.

Większość tych instytucji, nietylko u nas zresztą, rozwija się w kierunku mającym tylko słaby i bardzo pośredni związek ze zwalczaniem tego trudnego handlu i tego ohydnego niewolnictwa. Najbliższem zadaniem, jakie sobie zakładają, jest udzielenie opieki dziewczętom pozbawionym ogniska rodzinnego lub podróżującym samotnie. Przewidywanie, że mogłyby one paść ofiarą podstępu i gwałtu ze strony handlarzy, nie jest oczywiście bezzasadnem i dlatego taka nawet działalność pośrednia ma pewne dodatnie znaczenie, choć tylko bardzo maleńki procent zagrożonych przed niebezpieczeństwem zasłania. Schronienia, pensjonaty, ogniska domowe nie mogą pomieścić tysięcy i dziesiątków tysięcy dziewcząt, a zważywszy warunki, w jakich one wywabiane bywają, większość tych nieszczęśliwych nie ma najmniejszych widoków oparcia się o takie schronisko. Więcej znaczyłyby biura informacyjne, broszury i odezwy ostrzegające, o ileby się one szeroko rozpowszechniać mogły; temu jednak stoi na przeszkodzie u nas analfabetyzm mas kobiecych.

Głębiej sięgająca akcja zapobiegawcza, akcja istotnie skuteczna, musiałaby być raczej społeczną niż filantropijną, zmierzać do reformy ogólnej warunków życia i pracy kobiet, do podniesienia wśród nich poziomu oświaty i dobrobytu, do uobywatelenia mas kobiecych, aby były zdolne same się bronić przed wszelkiemi formami poniżenia i wyzysku. Innemi słowy, jeśli przyczyną obfitego połowu żywego towaru w naszym kraju jest cały splot ekonomiczno społecznych warunków, to tylko istotne korzystne zmiany tych warunków mogą mu z czasem koniec położyć.

Bynajmniej z tego nie wynika, aby obok akcji zapobiegawczej nie miała racji bytu akcja ratunkowa. Jeżeli uznamy — a temu zaprzeczyć trudno — że sprzedawanie kobiet i zmuszanie ich do rozpusty jest zbrodnią, to zgodzić się musimy i na to, że mamy obowiązek ratować i bronić ofiary tej zbrodni, nie czekając aż postęp obyczajowy i kulturalny sam przez się koniec położy. Corocznie 8 do 10 tysięcy dziewcząt wpada w otchłań zgnilizny, a my wobec tego mamy się pocieszać nadzieją, że w dalekiej przyszłości umoralniona ludzkość zrzeknie się tej hekatomby, gdyż przestanie z niej korzystać! Wobec żadnej innej klęski nie okazujemy takiej cierpliwości i rezygnacji.

Z tego względu należy się nietylko uznanie lecz najgorętsze poparcie tym rzadkim dotąd usiłowaniom, które bezpośrednio zmagają się ze zbrodniczą konspiracją i z jej zdradzieckich sieci wyrywają nieszczęsne ofiary.

Działalność żydowskiej Ochrony Kobiet w Warszawie świadczy, że takie usiłowania mogą być nie bezowocne. Kilkadziesiąt dziewcząt corocznie wyrywanych ze szpon złoczyńców, kilkadziesiąt rodzin, którym powrócono zaginioną córkę lub siostrę, zanim została beznadziejnie zaprzepaszczona, toć w każdym razie jest redukcją sumy nieszczęścia nieobojętną nietylko dla jednostek lecz i dla ogółu. Wytrwale energicznie, sprytnie i śmiało rozwijająca się działalność podobno ma jeszcze i tę dobrą stronę, że zdobywa dużo cennego materjału informacyjnego. Nietylko pojedyńcze nitki lecz węzły i kłębki zbrodniczego sprzysiężenia mogą przez nią zostać wyśledzone i odkryte, a jeśli równocześnie rozbudzi się sumienie publiczne, czujność publiczna zaalarmuje, a odosobnione usiłowania ludzi dobrej woli

rozsypanych po różnych punktach kuli ziemskiej, skoordynują się do wspólnej, na wielką skalę akcji, wciągając w nią i ludy i rządy, i prawodawców i organy opinji, to handel białemi niewolnicami upadnie tak samo, jak upadł handel murzynami. I tam przecież nie poprzestawano na przekonywaniu, nawracaniu i wychowywaniu handlarzy i plantatorów, lecz ich siłą i przymusem do zaprzestania występnego procederu zmuszono.

Iza Moszczeńska.

PANI DOMU MODERNE STYLE.

Jeszcze przed paroma dziesiątkami lat w średnich a nawet wyższych klasach towarzyskich — ideałem doskonałości była młoda osoba a właściwie panna na wydaniu, biegająca od wczesnego ranka po domu rodzicielskim z gładziuchno uczesaną główką, przy śnieżno-białym fartuszku, z pękiem kluczy u boku. Buzia jej, dokładnie wymyta, nie znała pudru, rączki, choć kształtne ale nie wydelikacone, opylały jaknajsumienniej domowe sprzęty, układały bieliznę, nie uchylały się przed żadną domową pracą. W ten właśnie sposób ówczesna panna na wydaniu, zasługiwała sobie na dobrego, zacnego męża, który brał ją sobie za dozgonną towarzyszkę i... *gospodynię*. I życie tych dwojga, szło dalej— w domu już rozpoczętym trybem. Panna na wydaniu stawała się panią domu własnego— i spełniała z całą drobiazgową pieczołowitością obowiązki tej *gospodyni*, pilnowała porządku, obiadu, bielizny, przybywały wkrótce starania około dzieci rodzących się systematycznie i nikt nic innego od ówczesnej pani domu nie wymagał.

Z biegiem czasu zmieniało się to wszystko powoli — lecz ciągle. Powstały inne prądy, inne cele i wymagania. Kobieta wyzwalała się z codziennego domowego jarzma, rozszerzała okresy swej działalności, wybiegała myślą i czynem poza ciasne koło kuchennych i śpiżarnianych obowiązków, wysilając energję, rozwijając bajeczną czynność, potrafiła z czasem pogodzić poważne życiowe obowiązki, z miłem dla siebie i drugich życiem zewnętrznem, stosunkami towarzyskimi — i jako pani domu objawiła się w nowej roli, w nowem oświetleniu. Dawną, naftową, oświecającą stół rodzinny lampę, zastąpiła promienną elektrycznością, pośród której chciała się wydać zawsze ładną, pociągającą, elegancką — zaczęła zdobić i siebie i swoje gniazdo, rodził się coraz to większy, subtelniejszy komfort, gromadziła dokoła siebie wiązankę eleganckich kobiet i sympatycznych mężczyzn, powstały dni i godziny przyjęć — dom się ożywiał a na jego czele, jak magnes przyciągający, stanęła pani domu, *moderne style*.



Podziękowanie za mile spędzony wieczór.

Dziś faktem jest niezaprzeczonym, że można być bardzo elegancką i wytworną damą a jednocześnie staranną i wzorową, panią domu *w stylu nowoczesnym*. Nie chodzi bowiem o to, by samej krzątać się bez-



Na miłej rozmowie — po obiedzie.

ustannie i zabiegać przy gospodarstwie, bo to wyklucza miły domowy nastrój — i mrozi całe otoczenie, ale trzeba potrafić umiejętnie wszystkiem zarządzić i lekko, niewidzialnie pociągać sznureczki domowych marjonetek w postaci służby.

Za dawnych czasów, rola pani domu kończyła się z chwilą gdy przynoszono i podawano do stołu dobrze przyrządzony obiad. Zapewne, że smacznie przygotowany i dobrze podany obiad, jest rzeczą ważną i miłą, ale pani domu powinna jeszcze znać dokładnie gusty swych gości i poszczególnie się do nich stosować. Powinna wiedzieć, że pan mecenas nie jada ostryg, ale za to bardzo lubi trochę kawioru, że pani doktorowa nie może znosić ryb, ale lubi jajecznicę i t. p. Są to drobiazgi, wpływają jednak bardzo dodatnio na zaproszonych, dając im poznać wielką o nich troskliwość. Chodzi także o

umiejętny dobór towarzystwa, o jakąś sympatję **łączącą** zaproszone **osoby**, by uniknąć dysonansu a wywołać miłą i konieczną harmonję; na to potrzeba wiele sprytu i taktu. Cały ton, cały nastrój musi pochodzić od ducha tego zebrania, to jest od pani tego domu.

Jest to rodzaj suggestji, którą ona wywierać musi — którą się wyczuwa, która wytwarza specjalną i nieskończenie miłą atmosferę.



Football w sali balowej. Ożywienie — jak chyba przy rzadko którym tańcu.

Pani domu, *moderne style*, ma jeszcze różne około wzorowego przyjęcia swych gości zadania. Są rzeczy, których — choćby bardzo dobra służba, nie spełni jednak należycie. Ładne przystrojenie stołu kwiatami, wymaga wytwornego, wyszkolonego gustu, pewna inscenizacja pokoi — ładne ułożenie jedwabnych poduszek na otomanach, efektowne ustawienie ślicznych cacek i t. d.... Ostatni retusz musi być zrobiony pod osobistym nadzorem pani domu, wszystko musi nosić piętno jej osobistego gustu, jej cechy—sposobu bycia—i wtedy dopiero dom jej staje się miłem, ulubionem środowiskiem, pociągającem i przykuwającem do siebie.

Szczera gościnność, wykwintna uprzejmość, niewyczerpana troskliwość o wszystkich i o wszystko, niezmącony spokój przy kierowaniu służbą — umiejętność powiedzenia miłego słowa każdemu z zaproszonych, zapomnienie o sobie, z postawieniem siebie na plan ostatni— oto są zadania, wzorowej pani domu. Tego trzeba się nauczyć przy wrodzonych zdolnościach, bez których to wszystko nigdy ładnie i dobrze nie wyjdzie.

Marcèle.

Współczesne gry towarzyskie.

„Wszystko to już było mój Acherze młody“ mówił Ben-Ahiba, i tak jest zawsze i we wszystkiem. Niema prawie nic nowego pod słońcem — jest tylko nowe oświetlenie, nowy sposób, nowa *maniera*, przeistaczana w nieskończoność i wreszcie powracająca do swego zaczątku i pierwiastku.



Kręgle („Bowling“). W sali obowiązują stroje balowe.

Towarzystwo współczesne, *modern-style* znudzone wiecznie powtarzanemi wizytami, zebraniami, tańcującymi wieczorkami, balami i proszonymi obiadami, cofnęło się wstecz i powróciło do gier i zabaw z czasów dziecięcych, w celu skrócenia i urozmaicenia godzin wspólnie spędzanych. Z niebotycznych szczytów wyrafinowanych i subtelnych uciech, wykwitłych na gruncie postępowej kultury — spieszą obecni ludzie do prymitywno - naiwnych rozrywek swego dzieciństwa. Zamiłowanie do t. zw. „Zabaw dziecinnych“ wrasta z dniem każdym, szczególnie do tych, które odbywają się latem — na świeżem powietrzu z huśtawkami, karuzelami i t. p. Ponieważ tego rodzaju urozmaicenia nie dają się przenosić na sale balowe, zaczęto więc wprowadzać tam, niebywałe dotąd na balach gry... „ślepą babkę“, „chowanego“, a już szczytem ekscentryczności jest pojawienie się na balowych salonach gry zwanej „Football“. Zamiast miękkiej murawy—lśniąca posadzka... a zamiast mocnej, ciężkiej, skórzanej piłki — leciuchna elegancka piłeczka gumowa, wisząca na nitce i „obsługiwana“ przez młodą panienkę. Za tą skaczącą piłeczką ubiegają się najszykowniejsi panowie... Tego rodzaju „*Football*„ ma tę wielką zasługę, że wyklucza wszelkie niebezpieczeństwo, grozić

może jedynie jakaś przygoda (sercowa)... ale to się i bez *Football'u* zdarza!

Jedną z gier towarzyskich importowanych z Ameryki, jest t. zw. *„Puzzle“*. Różnokolorowe klocki układać w najrozliczniejsze desenie i najrozliczniejsze motywy, jest tej gry zadaniem. Zatrudniać ona może 3 do 10 osób, które z gorączkowym pośpiechem i natężeniem nerwów, te klocki w różnych kierunkach przekładają. Jako przeciwstawienie tej siedzącej i spokojnej grze, wprowadzono do salonów grę t. zw. *„bowling“* czyli kręgle — piękne salonowe kręgielki... Trzeba przyznać, że po dobrym obiedzie, jest to rozrywka wysoce hygieniczna, wymagająca lekkiego negliżu—zupełnie przyjętego i dozwolonego...

Bardzo rozpowszechnioną w ostatnich czasach w Paryżu rozrywką dzienną, jest jeżdżenie do Hall z jarzynami. To należy obecnie do szyku, do mody. — Początkiem tego chwilowego kaprysiku była wielka wystawa jarzyn w Neuilly, pod Paryżem, na której premjowano najwspanialsze z tego działu okazy. Aby posiąść te okazy staczały paryżanki walkę na śmierć i życie — przemocą i za bajeczne sumy zdobywały olbrzymie pomidory, szparagi, artiszoki i i własnoręcznie wrzucały je do czekających elektrycznych automobili...

Najulubieńszą jednakże ze wszystkich gier towarzyskich są i pozostaną—karty. Na wszystkich zebraniach, zaraz po obiedzie, lub po kolacji, zaproszeni dzielą się na 3 kategorje: flirtujących, palących, grających. Damy należą do wszystkich trzech kategorji. Jest jeszcze jedna, o której zapominam. Należą do niej sami panowie i ani nie palą, ani grają, tylko popijają *Whisky-Soda*, opowiadając sobie rozmaite anegdotki...

Pozostaje — *taniec*, uważany przez wiele osób jako gra towarzyska, tak go przynajmniej pojmują ci, którzy nie tańczą. Inni widzą w tańcu—sport, wymagający na równi z innymi *treningu*—wprawy—bo w istocie do obecnie uprawianych tańców potrzeba dużej sprawności ruchów i gimnastycznego wyrobienia muskułów.— Dawniejszy Garott, Kadryl, Menuet, wymagał tylko gracji. Obecny *Tangos*, *Boston*, *Rags*, *One Step*, i t. p., są w całem znaczeniu—sportem—tanecznym.

Marcèle.



Ślepa babka.

ŁZY.

Po szybach łzy tajemne płyną —
Lampka się przed obrazem pali —
Za oknem widzę marę siną...
Po szybach łzy tajemne płyną — —
Czy to ty stoisz tam dziewczyno?
Twojaż to smutna pierś się żali?..
Po szybach łzy tajemne płyną --
Lampka się przed obrazem pali. —

Roman Krukowski.

Tydzień.

Dni tygodnia mają swą odrębną charakterystykę, swoje specjalne oświetlenie, wywołane wiekową tradycją...

I tak: *poniedziałek* tak się różni od *soboty* jak dajmy na to maj od września... I wcale to nie jest paradoksem. Nasza kobieca wrażliwość daje nam na to dowód niezbity. Kto nie odczuwał jakiejś zabobonnej obawy przed *poniedziałkiem?* Jakież przykre w poniedziałek przebudzenie... zdaje się, że cały tydzień przygniata swym ciężarem nawet tych, którzy są wolni od codziennej życiowej walki i w ślad za nią idących zobowiązań.

Poniedziałki są zapoczątkowaniem cząstki roku, tem samem cząstki życia naszego, kryją — niepewność— lęk przed tem, co nas spotkać w ciągu tygodnia może... Poranki poniedziałkowe podobne są do wydłużonej linji kolejowej. Wsiada się w pociąg... i pędzi coraz dalej... coraz szybciej, gorączkowiej... dni mijają jak stacje... Wtorek... środa... czwartek... i znowu lęk przed złowrogim piątkiem — tradycyjnie feralnym — dopędzamy spokojniejszej już soboty... aż wreszcie stajemy u chwilowego celu—i wytchnienia — u miłej, promiennej... niedzieli...

Skarbonka z muzyką.

Pokazuje się, że owe skarbonki o kształtach rozlicznych—znane nam od dzieciństwa — a jakiś czas widocznie zaniedbane, powróciły znowu do mody i dają o sobie znak życia, w bardzo oryginalny i elegancki sposób. Skarbonka *moderne-style* ma kształt mosiężnego sporego rondelka, oczywiście hermetycznie zamkniętego, bez możności otwarcia. W dyskretny otworek wkłada się tylko złote 10 frankówki, żadna inna moneta w otworek się nie mieści. Skoro zawartość oszczędnościowa wynosi 500 franków — rondelek otwiera się sam raptownie, przy dźwiękach marsza tryumfalnego, t.j. „Marsylianki“. Dźwięki muzyki cichną — skarbonka po oddaniu właścicielce umieszczonej w niej oszczędności — przestaje istnieć, będąc już niezdolną do powtórnego użytku.

Dama i czek.

Pewna paryska dama chcąc uzyskać jakąś dużą przysługę od bardzo wpływowego deputowanego, podsunęła mu podczas prywatnej audjencji czek na 100,000 franków... Pomimo wymowności tej cyfry... dama nic nie uzyskała — deputowany nie dał się przekupić... Wtedy, dama wzięła się na inny sposób... rozkochała w sobie deputowanego, który się z nią ożenił — no — i już czek był zbyteczny.



LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

2)

Czarny chleb.

— No — co miałem robić. Myślałem — budnik idzie pijany, w głowie mu się zamroczyło. Jakże, panu, odeszło?

— Co to za chata? Wieś?

— Nie — to straż dworska.

— Ty tu sam?

— Sam. A pan zkąd? Tutejszy? Może kogo sprowadzić, albo kartę zanieść?

— Nie.

— Niech pan sprobuje czy dychać może, czy co we wnętrzu nie zepsute. Ciepło teraz. Trza odzież zdjąć — wysuszyć.

— Zanadto mi słabo. Tak zostanę.

— No, to niech pan do potu się ugrzeje — to jutro całkiem odejdzie. A może panu głodno?

— Daj mi gorącej herbaty.

— Herbaty? Zkądże u mnie herbata. Krupnik jest.

— To daj mleka.

— Mleka? Niema. Toć tu błota, rzeka Niech pan odpocznie, prześpi się, to odwiozę pod żelazny most — pójdzie pan do stacji -- to tam wszystkiego dostanie. Teraz noc.

— Mnie się spać nie chce. Zostaw zapaloną lampę na noc. Głowę mam bolącą, ciężką, a oczu zamknąć nie mogę,

— Lampy niema, rozpalę trochę drzewek na przodzie pieca — a potem miesiąc zejdzie. Sen sam przyjdzie — choć człowiek nie chce. Czasami pilnujesz złodzieja czy zwierzyny i klniesz się, że nie zaśniesz, a sen jak zbój z nóg powali. Co tu już gadać, że przyjdzie do chaty, jak pan leży pod piecem! Zestrachał się pan z tego wypadku — to tak się zdaje, że rozbudzony.

Chłop rozpalił garść szczap, czas jakiś siedział na ławie pod oknem, mrucząc pacierze, potem podesłał pod głowę siermięgę i legł na deskach.

W chacie — puste kąty ogarnął czerwono płomień ognia, potem srebrem osnuł miesiąc. Ciszę przerywało chrapanie chłopa, czasem głuche stęknięcie obcego, który nie spał, objęty grozą wewnętrznej, dusznej męki. I tak upłynęła noc pierwsza.

Nazajutrz rano chłop znowu zajrzał na posłanie pod piecem. Obcy nie spał, ale spojrzał bezdusznie i słabo się odezwał.

— Zostaw mnie w spokoju. Zapłacę ci za gościnę.

— Możeby pan co zjadł?

— Nic nie chcę. Pić mi daj.

— Chłop podał mu wody, ciepławej, rzecznej, w kubku blaszanym, cuchnącym rdzą i rybą.

Chory przełknął raz i wzdrygnął się obrzydzeniem. Potem znowu oczy zamknął, i po chwili milczenia rzekł:

— Mógłbyś pójść, czy popłynąć do stacji kolei?

— Po wódkę, czy herbatę?

— Nie. Wysłać depeszę — i poczekać na odpowiedź.

— Jak zaraz popłynę do mostu, to po południu wrócę. Ale na stacji tej blizkiej niema bufetu. Wódki to może po znajomości dostanę — ale herbaty — to chyba troszkę naczelnik da.

— Sięgnął do kieszeni — wydobył przemokły pugilares — wyszukał jakąś kartkę papieru, ołówek — nakreślił słów kilka.

Chłop ujrzał, że w pugilaresie było dużo pieniędzy — i wyprostował się z szacunkiem.

— Migiem się sprawię, proszę jaśnie pana, — rzekł biorąc papier i pięciorublówkę,— Niechby pan pieniądze przesuszył na słonku, i odzienie też ściągnął ze siebie. Jak wrócę to upiorę w rzece.

— Ruszaj żywo, i wracaj z odpowiedzią!

Chłop wziął wiosło z kąta—i poruszony

widokiem pieniędzy, parł łódkę ile miał sił. Gdy się znalazł na stałym lądzie, chyżo też pomknął do stacji.

Ale w ciągu drogi zdecydował, że najlepiej o wypadku wcale nie mówić, ludzi nie rozciekawiać—wspólników w opiece nie mieć.

Więc gdy się znalazł w izbie telegrafu, na tej zgubionej w pustce, nędznej stacyjce—ucieszył się widząc, że dyżurnym jest zaspany pomocnik, niedawno przybyły. Położył papier, pieniądze, i czekał w progu. Urzędnik odczytał półgłosem:

Buki — doktór Barski. Kiedy pogrzeb Seweryna — Stefan.

Potem szukał stacji po księgach — potem wypisał kwit — odliczył resztę — i ziewając wziął się do aparatu.

— A czy prędko będzie odpowiedź, bo ja czekam rzekł chłop.

Urzędnik apatycznie ruszył ramionami.

(d. c. n.)



2) WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

Wybraniec losu.

Płakał nad swojem osamotnieniem. W tej ponurej, przedśmiertnej chwili zdjęła go nagle straszna tęsknota za zmarłym przyjacielem. Zdawało mu się, że gdyby poeta był żył to i jego własne życie ułożyło by się inaczej. Łzy coraz więcej płynęły mu z oczu a wspomnienia minionych chwil, które razem z poetą przeżywali pochłonęły go tak dalece, że po chwili zapomniał o swej nędzy i w najbezinteresowniejszym porywie uczucia opłakiwał już tylko stratę przyjaciela.

I nagle stało się coś dziwnego...

Łagodna, niebieskawa jasność napełniła pracownię. Mizerski spostrzegł, że poeta siedział obok niego na krześle. Wydało mu się to zupełnie naturalnem i nie zastanawiał się nad tem skąd się w pracowni wzięło krzesło. Przyjaciel przyglądał mu się tkliwem spojrzeniem, potem pochylając się nad nim i ujmując go za rękę odezwał się cichym głosem:

— Wiem, że ci ciężko, ale...

Odwrócił się i wskazując oczami na szafę w ścianie, w której zresztą Mizerski nic nie przechowywał, dodał z pełnym niewypowiedzianego wdzięku uśmiechem:

— Tam odmiana twojego losu...

Mizerski zerwał się z posłania. W pracowni znów było ciemno, po szybach dzwonił monotonnie deszcz. Rzeźbiarz pojął, iż padł ofiarą gorączkowej halucynacji. Mimo to podbiegł do szafy w ścianie, szarpnął drzwi i... okrzyk zdumienia i przerażenia wyrwał mu się nagle z piersi.

Na półce leżało zawiniątko, którego *przedtem* nie było.

III.

Trzeba było takiego zobojętnienia na wszystko do jakiego doszedł rzeźbiarz, aby w podobnej sytuacji nie runąć bez przytomności na podłogę. Mizerski ograniczył się tylko do febrycznego drżenia, które przez długi czas nie pozwalało mu zapalić ogarka świecy, bo wciąż albo zapałki wylatywały mu z palców albo świeca. W końcu jednak udało mu się trafić w knot i z zamarłym ze wzruszenia oddechem zbliżył się do szafy.

— To wszystko halucynacja... ja zwarjowałem—mruknął ponurym głosem.

Na półce leżała para mankietów i koszula, świeżo uprane i jeszcze wilgotne. Już sam fakt interwencji sił zaświatowych w życiu był dla rzeźbiarza czemś absolutnie niewytłumaczalnem i niepojętem, ale to, aby duchy zmarłych przyjaciół występowały w praktycznej roli domowych praczek przekraczało już nawet zakres wszystkiego w co Mizerski mógł nie wierzyć.

— Zwarjowałem—jęknął. Koszuli niema, krzesła niema, przyjaciela nie było... Wszystko zdawało mi się tylko...

I chwiejnym krokiem wrócił na posłanie. Straszne wstrząśnienie nerwowe, jakie przeżył tak go wyczerpało, że zasnął odrazu ciężkim martwym snem. Zbudziło go gwałtowne kołatanie do drzwi. Miał wrażenie, że musiała już być późna noc.

— Kto tam?—krzyknął zdziwiony.

Ponieważ w dzień go nikt nie odwiedzał, więc nie mógł pojąć, że ktoś tak gwałtownie dobijał się do niego w nocy.

— Otworzyć! — rozległ się rozkazujący głos w sieni.

Rzeźbiarz zwlókł się powoli z posłania, ale natrętni goście nie czekali. Nim doszedł do drzwi, drzwi już były wyłamane i pracownia zapełniła się policja.

— To pomyłka—mruknął Mizerski.

Nic mu nie odpowiedziano. Jakiś wysoki, po cywilnemu ubrany pan, w meloniku na głowie rzucił się odrazu do szafy w ścianie.

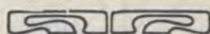
— Jest!—zawołał tryumfującym tonem. Koszulka i mankieciki świeżo uprane. Tak pan rzeźbiarz, artysta a pan lubi czystą bieliznę?—zwrócił się z szyderczym uśmiechem do Mizerskiego. A ślady krwi i tak zostały—ciągnął, oglądając przy świetle kieszonkowej latarni elektrycznej koszulę.

— Związać go! — krzyknął po chwili, wskazując na osłupiałego rzeźbiarza. To niebezpieczny zbrodniarz!

IV.

Sprawa Mizerskiego, oskarżonego o zamordowanie w przystępie szału erotycznego siedemdziesięcioletniej staruszki, znanej z nieposzlakowanego życia i uczynków filantropijnych wywołała w społeczeństwie sensację niesłychaną. Od chwili, w której rzeźbiarza zaaresztowano, przestano wogóle o czemkolwiek innem mówić, myśleć i pisać. Pewien sprytny fotograf, który wypuścił serje kart pocztowych z portretem Mizerskiego w ciągu dwuch tygodni dorobił się majątku. Dzieci bawiły się z piastunkami „w Mizerskiego". A rzeźbiarz siedział tymczasem w więzieniu, odkarmiał się powoli i odzyskiwał wiarę w życie. Adwokat, który miał go bronić nie wróżył mu wprawdzie nic dobrego. Na rzeźbiarzu ciążyły silne poszlaki. Pominąwszy już ową koszulę i mankiety ze źle wypranymi śladami krwi stwierdzono, że w młodości jeszcze Mizerski niejednokrotnie wspominał o „zabijaniu nudy". Dowodziło to, że instynkty zbrodnicze kryły się w nim od wczesnego dzieciństwa i opinję publiczną oburzała najbardziej ta hypokryzja, z jaką przez tyle lat potrafił je taić.

Mizerski wiedział, że był niewinny i że mógł paść ofiarą strasznej omyłki sądowej. Ale poczucie sławy i przyjaźni ludzkiej osładzało mu wszelkie cierpienia. Bo głodny rzeźbiarz nie domyślał się nawet ilu miał szczerych przyjaciół i oddanych wielbicielek w społeczeństwie. Codziennie przysyłano mu do więzienia kwiaty, tak że po tygodniu smutna skądinąd i rażąca brakiem umeblowania cela zmieniła się w jakąś egzotyczną cieplarnię. Z pism, których mu ci sami nieznajomi wielbiciele dostarczali mógł się przekonać z radością, że jego działalność artystyczna nie była bynajmniej, jak przypuszczał w rozgoryczeniu, społeczeństwu nieznana. Przeciwnie wszystkie pisma zamieszczały codziennie obszerne rozprawy o jego sztuce. Nazywano ją chorobliwą i krwawą ale wielką. Było to upajające jak haszysz i rzeźbiarz żył w stanie ciągłej radosnej ekstazy. (dok. nast.)



Z BŁĘKITNEJ KSIĘGI.

Księżyc mgławo się złotym swym przegląda [rogiem
W poblizkim, sitowiami obrośniętym stawie...
Gdzieś konie rżą spętane na łąkowej trawie,
Zielono-modry wieczór zawisł nad mym [progiem.

Patrzę w las, co przedemną stoi zwartą ścianą,
Jakby czekał na przyjście jakiejś złotej bajki,
Zaraz świerszcze zagrają—szare zboża grajki
I mgły gdzieś z ponadrzecznych oparzeli wstaną.

Zaraz świerszcze zagrają, echa drgną borowe...
Pójdę w las, zanim szepty tajemnicze zgłuchną,
Gdzieś między dzikie knieje, w pustki jałowcowe,

A może mi zaświeci zielonkawe próchno,
Lub dziewczę jakieś w drodze napotkam zbłąkane,
Co będzie w śpiew wieczoru, jak i ja wsłuchane.

Zygmunt Różycki.



10)

ZARAZA.

Powitał mnie mojem imieniem i merhabą muzułmanina a potem, jak litanję, jedne po drugich opowiadał moje grzechy i na wszystko odpowiadałem:

— Tak Panie.

Bo już nie było odpowiadać co innego, stałem pokornie, prawda wyszła jak oliwa na wierzch. Zakończył:

— Przed Bogiem i przed ludźmi odpowiesz i za Kiuczuk Mustafę i za Hadżę Giorgiego Chrysta — zaprowadźcie go. I niemym znakiem wskazał gdzie.

Nie będę wam opowiadał ile odebrałem szturchańców i kułaków, nim mnie okuto w kajdany na ręce i na nogi i zaciągnięto do kaika — i zawieziono mnie do Tersane [50]). Czułem ból i cierpienie, ale byłem oszołomiony. Ona mi stała przed oczyma a kareta, ciągnięta siwojabłkowitemi końmi, leciała i ja nie mogłem jej dogonić okiem.

Wsadzono mnie do Zyndanu, wiecie wy co to Zyndan?... [51]). Na Kanale ścieków, którym wszystkie paskudztwa z miasta spływają do morza. Z płyt kamiennych wymurowane ściany i sklepienia, mur krawędziami oparty aż na dnie sklepienia, głębokiego na trzydzieści stóp. Na tym kanale rzucona podłoga z szerokich dylów, ze szczelinami otwartemi. W sklepieniu i ścianach żadnego otworu, światło i powietrze przechodziło przez szczeliny pomostu — ale jakie światło, jakie powietrze... Tam było więzienie dla tych, których nie chciano aby żyli, których uważano za umarłych, a którym leniono się życie odbierać, niech żyją póki nie pomrą, kiedy takie ich przeznaczenie. Trzysta drahm chleba i oko wody na karm, kajdany na posłanie, co trzy dni przegląd z latarnią, który żyje a który zmarł. Jak zmarł, podnoszono dyl i rzucano trupa w kanał, a który żył, niech żyje póki nie umrze. To więzienie, wzdłuż ma pięćsęt kroków, wszerz trzydzieści. Sklepienia można było dostać podniesioną ręką; choć kajdany przerdzewiały, nie było kędy i gdzie uciekać, bo kanał to gorzej trumny, gorzej zamurowanego grobu. Dreszcz przechodził na samą myśl, żeby tam z dylów się nie zsunąć, woda nie mruczała, ani szumiała, ale chlupotała, jak pocałunki śmierci. Sami tam zbójce i zabójce. Po Żyndanie, i czyściec i piekło jeszcze by były rajem. Jeden do drugiego nic nie mówił, jeden drugiego widzieć nie mógł, a jednak były śpiewy, były wrzaski. Krzykiem zapajali rozpacz i zmęczeni zasypiali snem ludzkim.

Pogubiłem dnie, miesiące, nie wiem co się ze mną stało, ale ona mi była przed oczyma i życie się zatrzymywało.

Rzucano do nas nowych towarzyszy, rzucano w kanał trupy i rzeczy szły swoim porządkiem. Kiedy przy jednym przeglądzie, Tiumruk Agasy, dozorca więzienia, zawołał:

— Gdzie zbój dwojga imion, Kiuczuk Mustafa i Hadży Giorgi Chrysto?

Całych piersi zdobyłem na krzyk:

— Ja —

Myślałem, że już mnie pociągną na pal, czy na szubienicę i będzie koniec wszystkiemu.

— Weźcie go!

I wyciągnęli mnie z Zyndanu do jakiejś kordegardy, tam mnie rozkuto, obmyto, ogolono i ostrzyżono — przybrano w bułgarskie szaty — na kaik, potem na konia i zawieziono ot tu, do koszar Daud Paszy. Stawiono przed sotnika Kołotuszkę, kazał zapisać w regiestr, zapisać do sotni i zostałem sułtańskim kozakiem.

Wszystko to się stało jak we śnie, ciężka zmora, straszna zmora i odetchnąć nie dano, na koń i hajda do Adrianopola. Tu dopiero od Matea Raszy i od Marka Łukowa dowiedziałem jak się rzecz stała.

Czarny Tanasz powiedział Hanumie, że za wskazaniem Salih Beja, wzięto mnie do Zyndanu. W ten czas właśne sławny Hajduk, najsławniejszy między nami, Mateo Raszo, zyskał rej, ułaskawienie od potężnego Mehmeda Alego Paszy, szwagra sułtańskiego i prawo czestnego odpuszczenia hajductwa, służbą w wojsku sułtańskiem. Mówią u nas i wszędzie, że jak kobieta czego zechce, to i Bóg zezwoli — trafiła do Matea Raszy przez Czarnego Tanasza, ten pokłonił się Mehmed Alemu, ucałował nogi i dostał wolność dla Hadżego Giorgi Chrysto, z rozkazem, by go zapisano w kozaki i zaraz wysłano z Islambola.

Tak się też i stało; nie będę wam prawił o wojnie, wyście tam byli, dobrze się nam działo, Bóg daj takie wojny zawsze prowadzić. W Bułgarji wino i bannice, na Wołoszy i na Multanach mamałyga a na Dobrodzy barszcz i warenniki a wszystkiego poddostatek.

To była wojna, na której mało wojowano a wiele hulano. Chciano nas ze Szwabami pobratać, ale się nie udało, patrzyliśmy na siebie jak pies na kota, wolelibyśmy się poczubić jak polubić — a po zawartym pokoju, poszliśmy w Bałkany.

Choć mi jeszcze Zyndan nie wyszedł z pamięci, korciło do Islambolu, korciło, widać że takie było przeznaczenie. Chodziliśmy w prawo, chodziliśmy w lewo, po wszystkich ziemiach sułtańskich wzdłuż i wpoprzek, a ona mi była przed oczyma na jawie i we śnie, choć byłem junakiem i to kozakiem, Ałłaj Czauszem nawet. Jadłem, piłem, na koniu hasałem, nic mi nie było, zdrów i wesół, hulaka i hajdamaka. Mikołaj Kirkor mówił: to mi kozak, jemu nic nie w głowie, tylko pułk i wojaczka. Nasz Pasza, ile razy spojrzał, to się uśmiechnął — Takich mi dawaj junaków, co to o niczem nie myślą tylko o koniu i o szabli, z takimi chodzić od kraju do kraju świata, póki ziemi stanie. Majory, sotnicy, porucznicy, wszyscy chórem, ma się rozumieć przy szklance, śpiewali: Tak żyjmy, tak pijmy, jak nasz Ałłaj Czausz. U niego koń,

kulbaka, pistolet, szabla i szklanka, to przyjaciele, to kochanki, byle z niemi to o świat nie dba, takimi być i nam wszystkim, kiedy chcemy być kozakami. Oni śpiewali, wykrzykiwali a ja sobie myślałem: o ludzie, wy, ludzie, wam czytać na dnie szklanek to wasza rzecz, ale nie w sercach ludzkich...

Na Kosowem polu ile razy człowiek był sam z sobą, to ucho moje szumadyjskie słyszało dźwięki i brzmienia pogrzebowej pieśni słowiańskiej, o carze Lazarze, o siedmiu braciach Jugowiczach, o Miłoszu Obiliczu, o Sułtanie Muradzie. Wilja szła od grobu sułtańskiego, siejąc popiół na serbskie ziemie, żeby już nic a nic nie rodziły, żeby Turczyn panował nad pustynią, bo to snadniej jak nad ludźmi, a i ludzie na pustyni to jak zbłąkane owce. Wilja niszczyła sioła i grody, a była cała w bieli, w kruczych włosach, brylantowe słońce, na skroniach koralowe rzeki, w dłoni jatagan z krwawą rękojeścią z krwawnika, to Emina, szła do mnie a nie doszła, zniknęła i znowu błysnęła w dali, jak błędny ognik, wilała się nad Łapem, nad Silnicą, a ja za nią goniłem. W obozie mówiono: Ałłaj Czausz pilny, dzień i noc czuwa, odgania wilki i cyganki od obozu.

(dok. nast.)

[50]) Tersane—Admiralicja, gdzie się znajduje więzienie skazanych na roboty publiczne — nad odnogą Złotego Rogu.

[51]) Zyndan — najsroższe więzienie, w opisie nie masz przesady, raczej może jest niedosada.



KAZIMIERZ GLIŃSKI.

48)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Nastawiam więc ucho, jak ksiądz w konfesjonale... Mów wszystko, bo inaczej nie otrzymasz rozgrzeszenia.

Ostatnie słowa wojewodziny, wypowiedziane z żartobliwością pewną, dodały śmiałości Hance. Nie wiedziała jakiego wysiłku ten żart pozorny wymagał, ile pracy kosztował. Rzekła więc swobodnie:

— Przemko spotkał był rycerza jakiegoś, który w pewnych godzinach z lasu wypływał i na ten zamek patrzał.

Zatrzymał się oddech w piersi pani Dominiki, ale przemogła się i rzekła spokojnie:
— Dużo rycerzy z lasu wychylać się może i patrzeć na ten zamek.

— Jużci, że tak!.. Ale ten rycerz...

— Co? co?..

— Rozpytywał się o was, pani.

— Pytał o mnie... Jezu!.. kto on był? kto taki..?

— Nazwiska jego nie chciał mi Przemko powiedzieć, bo jeszcze, prawił, czas nie nadszedł!

— Czas ten minął, czas ten już dawno minął — zawołała pani Dominika z łoża się zrywając. — Nie możesz ty mówić, to niech przyjdzie on tu — i powie!

Perełka skoczyła i zaklaskała w dłoń.

Nie opamiętała się pani Dominika, jak, niby wiatr, wionęła i znikła za drzwiami sypialni.

Z rozwartemi szeroko oczyma, z zapartym oddechem i sercem bijącem, targającem się do bólu niemal, patrzyła wojewodzina w przymknięte drzwi sypialni, jakby widmo jakieś miała w nich ujrzeć. Wsparła się dłonią o poręcz łóżka, które dygotało lekko pod kurczowem dotknięciem jej palców, usta pobladły, powieki trzęsły się nerwowo — — — Położyła dłoń na piersi—wargi drżące szeptały:

— Serce... serce!..

Tak czekała na wejście Przemka — —

Wszedł — drzwi przymknął i zbliżył się do pani wojewodziny. Perełka, pewnikiem, przykucnęła gdzieś za drzwiami.

— Twoja bajka! — — rzuciła pani Włodkowa — —

— Błądzi około zamku tego — szepnął Przemko. — Czeka chwili — rozkazu, by wejść tu mogła — —

— Ja zmysły tracę — —

— Tu przytomności potrzeba — — Jezu!..

— Perełka mówiła mi o twoim spokoju— pani — — a ty?.. Poco-żeś mi przyjść kazała?

— To nic!.. to nic!.. ja silna jestem — ja zdrowa!.. Nie każ mi się domyślać, bo to męczy... męczy!.. O jakim to rycerzu szepta-

ła mi Hanka?.. Kto on taki?.. mów—mów—mów!..

— Wy wiecie już — kto on taki!.. Wyraźniejszy on był w snach waszych, niż w moich leśnych z nim spotkaniach. Powtórzcie sobie w myśli imię jego, ażeby, gdy już z ust moich wyjdzie, dźwięk tych wyrazów mogliście znieść spokojnie.

— Powtórzyłam... powtórzyłam już dwa razy... Teraz — ty!

— Pełko Jasieniec—rzekł wtedy Przemko — —

Żywe ognie koralów zapaliły się na likach pani Dominiki, dawno niewidziane zapłonęły rumieńce. Przemko uczuł skurcz palców, które silnym uściskiem ujęły dłoń jego, posłyszał muzykę krwi, jaką zagrały jej żyły. Wojewodzina pochyliła głowę, ucho przywarła niemal do samych ust Przemka, oczekując szeptu tajemniczego.

Cisza...

Kroplą po kropli spadają słowa Przemkowe w ucho pani Dominiki, słodkie, czarodziejskie słowa. Tchną wiosną, dyszą szczęściem, barwią się tęczą kwiatów, dzwonią miłosną pieśnią słowików. Wojewodzina drży, tak, jak drży blask księżycowy w wodach niespokojnych; duszą całą chwyta opowieść Przemkową — ale niema oporu, wahania się niema!.. Czasami tylko dłoń ku sercu się pogarnie, usta się poruszą, jakby szeptały:

— Nie pęknij, serce... nie pęknij!

Przemko opowieść swoją skończył szeptem:

— Dam znak!..

Wojewodzina pochyliła się do jego ramienia — z ust jej wybiegło:

— Ja na twój znak odpowiem — —

Milczenie—dwa szybkie oddechy — bicie serc dwojga — — —

— Teraz idź!.. szepnęła — — Zawołam Perełkę... Wstanę... Odetchnę... Nabiorę sił...

Gorączką paliły się oczy, chwiała się od drgań serca — ale ubrała się szybko— i — podprowadzona do okna przez Perełkę, wsparta na jej ramieniu, patrzyła na śniegi, topniejące pod promieniami ciepłego słońca, na szare wyspy ziemi z pod białej wyzierające pościeli; wsłuchiwała się w świergot wróbli, od którego aż klaskało powietrze, a dusza jej śpiewała:

Cicha noc letnia... miesięczny strzał —
Pląsa na dolinie da hasło mi — —
Czy to się marzy?.. czy to się... śni?..
Powróci szczęście — miłość... i szał?..

Tak stojąc w objęciu, obie zakochane, zapatrzyły się w błękity niebios, dzwoniące już klangorem żórawi, płynących z krain nieznanych. (d. c. n.)



2) ERNEST HARDT.

Fatema.

(Z niemieckiego).

(Dokończenie).

I we mnie cisnęło się coś i wzbierało, coś rozpierało, jakby chciało się zlać w jedno z tym płynącym od niej żarem.

Dzikie, płonące fale wdzierały się we mnie rozpalało się słońce, które rozdmuchiwało to dziewczęce ciało.

Nagle Fatema zakończyła taniec krótkim, ostrym ruchem, ale to tak ostrym, tak twardym, że wstrząsnąłem się pod tym rozdźwiękiem. Za chwilę dwoje ramion zarzuciło mi się na szyję, nagie, płonące ciało przytuliło się do mego i pocałunki, niby wrzątek, zaczęły parzyć drżącą twarz moją.

Szybkim ruchem podniosłem się i przycisnąłem do siebie Fatemę. Nie mówiliśmy nic, a zdawało się jednak, że tysiące krzyczących łkających głosów woła, szepce i drży—i w końcu wylały się wszystkie w jednem słowie, którem wargi Fatemy tchnęły mi w twarz.

— Em can chebec faleine, em can chebec faleine!

Żydówka również zerwała się z miejsca i patrzyła na mnie błyszczącemi oczyma: i ona była pod urokiem tego tańca.

Za chwilę byłem sam z Fatemą w maleńkim pokoiku.

Poznałem szczęście afrykańskie, gorące, słoneczne, pełne namiętności, nieobmyślane, jakby bijące z czystego źródła natury, poznałem święto na cześć Piękna, na cześć życia.

. . . .

Zdawało się, żeśmy leżeli w cieniu palmy, a na nas spływały ostatnie promienie słońca, które zachodziło tam, daleko. Łagodny wiatr ochładzał nasze członki.

Nie słyszałem nic, oprócz oddechu leżącego koło mnie ciała, które wciąż się ku mnie garnęło. A kiedy i ten lekki szmer zlał się z ciszą, dolatywał równomierny szum fal, które zdala opłukiwały piasek wybrzeża. Nakoniec rozpoznałem głośny dźwięk płyt z blachy, któremi zakryte były lufciki naszej komórki. To wiatr bawił się niemi.

Nie chcieliśmy mówić. Z ciszą było nam dobrze: w niej mogliśmy marzyć o szczęściu...

Ręka Fatemy igrała piórkiem, które znalazła na mojej piersi. Zauważyłem przytem na palcu jej srebrny pierścień, szeroki, obcych mi kształtów.

— Co to za pierścień? — spytałem po hiszpańsku.

— To moja ślubna obrączka — odpowiedziała.

Zacząłem mu się przypatrywać.

— Chcesz go?

— Tak.

— Ale on jest srebrny, nic nie wart.

— A jednak chcę go, skoro jest on godzien ciebie.

Po chwili milczenia, zapytała głosem bezdźwięcznym i smutnym:

— Que vale Fatema?

Odwróciłem się do niej i całowałem jej oczy.

Co za dziwne słowa! Que vale Fatema! Czułem, że w duszy mojej coś kipiało.

Zdjęła pierścień z palca i włożyła go na moją rękę. Ucałowałem ją. Uśmiechała się.

Potem wzięła mnie za rękę i rzekła:

— Ty masz śliczne pierścienie! Od kogo jest ten z perłą?

— Od tej, z którą kiedyś chciałem się żenić.

Z początku ucichła, a potem zwolna powiedziała:

— Fatema chciałaby być jej niewolnicą.

Całowałem jej oczy, i usta, i ręce miękko i powoli. W końcu rzekłem:

— Fatemo, ja cię kocham!

Potrząsnęła smutnie głową; nie rozumiała tyle po hiszpańsku.

Zapanowała cisza, podczas której myślałem o tem dziwnem zdarzeniu, które przeżyłem. Fatema od czasu do czasu przyciskała usta do mojego ramienia.

Nagle zapytała:

— Co ci jest? O czem myślisz?

— Że już cię nigdy nie zobaczę.

Jej ciało powoli odsunęło się od mego, leżała obok mnie bez ruchu, po chwili usłyszałem jej płacz.

Nie mogłem mówić, głaskałem tylko jej włosy.

. . . .

Silne stukanie otrzeźwiło mnie. Już czas...

Kiedy szykowałem się do wyjścia, ona łkała tak, że serce rozrywało mi się w kawały.

Kiedy chciałem ją pożegnać, odepchnęła mnie, potem dziko zaczęła całować całą twarz moją i w końcu jęła robić dziwne znaki nad moją głową, a wargi jej szeptały jakieś obce mi wyrazy. Potem przycisnęła wargi do swojej ślubnej obrączki, którą miałem na palcu, i z rozpaczliwym płaczem rzuciła się na łóżko.

Oczy zaszły mi łzami, odwróciłem się i uciekłem. Przewodnik już na mnie czekał.

Ale na schodach już poczułem objęcie Fatemy. Uścisnęlimy się raz jeszcze i znów tysiące głosów płynęło od niej ku mnie—płakała, płakała tak, że dusza się rwała.

Zbiegłem na dół i dopadłem drzwi.

Dogoniła mnie w koszuli, nie bacząc na grożące jej niebezpieczeństwo. Gdy przewodnik chciał odrywać ją odemnie, poczułem, że, płacząc i szlochając bezustannie, wsunęła mi coś do kieszeni surduta. Nadleciała żydówka z wściekłością wciągnęła ją do domu. Zdaleka jeszcze dolatywały jej szlochy i jęki.

Poszliśmy dalej, ale czułem się złamany, w piersi coś się rozrywało. Przewodnik mój nie ośmielił się wszczynać rozmowy.

W domu znalazłem w kieszeni, jej oba maleńkie pantofelki.

Nazajutrz rano wsiadłem na okręt i, gdy z meczetu rozlegał się śpiew arabski, podnieśliśmy kotwicę.

. . . .

„Widzisz, kochany Rydzie, dlatego noszę tę obrączkę, że pochodzi ona od człowieka, którego kochałem“...

— Que vale Fatema! — wyszeptał starszy pan do siebie, pozostali dwaj jednak nie byli w możności wydobyć z siebie ani słowa.



BAUDELAIRE.

Z otrutą duszą szedłem sam przez życie —
— Nie chciały kwitnąć kwiaty me na słocie...
O, czemu pereł nie znalazłem w błocie?...

Kochałem żółte chmury na błękicie
I miałem ciemne, starodawne złoto,
Swych dawnych panów, święte groźną cnotą...

I zapalałem w tajemnej komnacie
Lampy koloru zaśniedziałej miedzi:
— Może mnie szatan albo Bóg odwiedzi?...

Lecz przyszedł szatan w smutnym majestacie
I stał się duszą moich dziwnych zbrodni...
Hej! Ja i szatan! Przyjaciele godni!...

...I jeno trupy gniły w mych komorach,
A ja z ich tłuszczu wyrabiałem świece
Bogu mojemu, aby miał w opiece
— Serce me dzikie, marzące o zmorach.

J. Appenszlak.

R. KIPLING.

(Dokończenie.)

Moja własna opowieść o duchu.

2)

— Dawno to już temu, ale pamiętam, że jeden sahib tęgi mężczyzna i wielki impetyk, grając tu pewnej nocy, rzekł do mnie:—Manghel Kan—„brandy—pamy do“; a gdy napełniłem kielich, on pochylił się aby pchnąć kulę i głowa jego zsunęła się bardzo nizko, bardzo nizko, okulary potoczyły się na podłogę, a gdyśmy pospieszyli mu z pomocą — był już martwy. Wynieśliśmy go stąd. Silny był i zdrów—lecz umarł, a ja stary, ciągle żyję.

To wystarczało.

Miałem ducha—bezwątpienia. Niebawem napiszę do „Towarzystwa Badań Psychicznych“. Całe państwo zelektryzuję tą wiadomością. Przedewszystkiem zaś, przed nocą jeszcze pozostawię za sobą osiemdziesiąt mil gruntu uprawnego i nieuprawnego.

Niechaj sobie później „Towarzystwo Badań Psychicznych“ posyła oficjalnych agentów, dla dalszych badań.

Wróciłem do siebie i po zapisaniu szczegółów faktu, zabrałem się do pakowania. Zapaliłem właśnie papierosą, gdy usłyszałem że partja rozpoczyna się ponownie.

Tym razem kula chybiła, bo toczenie trwało tylko przez chwilę.

Drzwi były otwarte, mogłem więc doskonale śledzić, co się dzieje.

— Stuk, stuk, stuk,—to był karambol!

Niewidzialna gra toczyła się z bajeczną szybkością.

I nic dziwnego, mały szczur krążył niezmordowanie wzdłuż ścian, a okiennica ocierała się o rygiel okna.

Naśladowało to łudząco uderzenia kul bilardowych.

Istotnie nie miałem sobie nic do wyrzucenia. Nawet teraz, gdy przymykałem oczy, stuk ten łudząco przypominał partję bilardową.

Na progu ukazał się Kadir Baksh, wierny druh moich doświadczeń.

— Stacja ta jest bardzo niewygodna i właściwa jedynie dla ludzi nizkiego pochodzenia—rzekł.

— Nic dziwnego, że wasza dostojność miała sen przerwany i pokąsana jest sromotnie. Trzy partje tragarzy lektyk dobijały się tu późną nocą, gdy spałem na dworze... Ludzie ci mówili, że zwykli korzystać z pokojów, przeznaczonych dla europejczyków. „Khansamah“ widocznie pozbawiony jest poczucia honoru. Sam fakt, że ci parjasi tu byli, wystarcza, aby wasza dostojność pokłuta była do krwi! Wstrętny i nędzny to osobnik, ów Manghal Khan —

Kadir Baksh przemilczał jednak to, że wziął od tragarzy po dwa „annas“ z góry za nocleg i że, korzystając z mojej nieobecności, poturbował ich w dodatku wielkim, zielonym parasolem, którego przeznaczenie było dla mnie dotąd problematyczne.

Przywołałem „khansamah'a. Stracił on najzupełniej głowę, więc miast litości, gniew mną ogarnął, on zaś podczas długiej rozmowy uśmiercał sahiba na coraz to innej stacji, nie bacząc na to, że odległość ich wynosiła prawie pięćdziesiąt mil.

Wreszcie położył go trupem w Kalkucie. Jedno słowo zachęty, a ciało jego włóczyłby po całym Bengalu.

Nie wyjechałem tak prędko, jak zamierzałem.

Pozostałem na noc, podczas gdy wiatr, szczur, okiennice i rygiel—odgrywały swą partję bilardową.

Poczem wichura się uciszyła i zmilkły odgłosy bilardu, mnie zaś ogarnęło przeświadczenie, że dobrowolnie rozwiałem moją własną oryginalną, opatentowaną historję o duchu. Gdybym się we właściwym czasie zatrzymał, mógłbym to zużytkować.



Z cyklu: „Trjolety“.

W mych oczach błyszczą łzy,
srebrzone łzy — opale...
młodzieńcze pierzchły sny,
w mych oczach błyszczą łzy,
a barwne moje sny
uchodzą w senne dale...
W mych oczach błyszczą łzy,
srebrzone łzy - opale...

JULJUSZ DZIĘCIOŁOWSKI.



POPULARYZACJA WIEDZY

PODRÓŻ NAOKOŁO ŚWIATA. — TAHITI.

Do roku 1767 archipelag polinezyjski na oceanie Spokojnym stanowił oddzielny, zamknięty w sobie świat. Aż pewnego dnia do brzegów wyspy Tahiti przybił okręt cudzoziemski, pod dowództwem kapitana Wallis'a i bogowie z Tahiti uciekli na swój Olimp, nie chcąc dłużej przebywać na ziemi, którą skalały stopy najeźdźców. Cudzoziemcy sprowadzili z sobą grom i błyskawice, a tubylcy uzbrojeni jeno w kusze i łuki musieli ustąpić z pola. W dwa lata później przejeżdżał tamtędy słynny podróżnik, Jakób Cook. Zawiązał z krajowcami przyjazne stosunki, studjował ich obyczaje, a całą grupę wysp, w której skład wchodziły: Reiatea, Borabora, Hunheine, ochrzcił nazwą „Wysp Towarzyskich". Wkrótce potem cywilizacja i bogactwo przyrody wspaniałej wyspy Tahiti, zasłynęły na całym świecie. Nigdy mieszkańcy tego raju ziemskiego nie zbrukali czystości swych obyczajów — ludożerstwem, tak zwykłem w świecie polinezyjskim. Pod berłem ich potężnych królów, kwitły praktyczne rzemiosła, sztuki i bohaterstwo wojowników. Mężczyźni byli atletycznie zbudowani, o ciałach barwy brunatnej, a kobiety odznaczały się niezwykłą urodą. Główne ich pożywienie składało się z roślin i ryb, które łowili nocą przy świetle pochodni. Palmy kokosowe i bananowe, drzewa mangowe tworzyły nieprzebyte lasy. Mężczyźni i kobiety nosili białe bawełniane fartuszki. Reszta „stroju" składała się z żywych kwiatów, które wplatali we włosy. Policzki tatuowali niebieskim barwnikiem. Plecione z łyka maty zaściełały podłogi i ściany chat. W gorące, podzwrotnikowe wieczory, w powietrzu rozbrzmiewały pieśni i muzyka. Pod względem wyćwiczenia i sprawności w zabawach i sportach przypominali starożytnych Greków. Urządzali regaty, konkursy strzeleckie i zapaśnicze. Wielkie święto Taopiti zgromadzało całą prawie ludność. Odbywały się wówczas prawdziwe igrzyska olimpijskie. Sztukę budowania łodzi doprowadzili do doskonałości. Na podwójnych „pirogach" robili dalekie wyprawy morskie. Orjentowali się podług gwiazd, prądów i wiatrów.

Moralność ich odpowiadała gorącemu temperamentowi. Prostytucja przybrała tam oryginalną, nigdzie nie spotykaną formę. Wielkie stowarzyszenia,



Typy kobiece z Tahiti.



Taniec Upa-Upa w Tahiti.

zwane Areois jeździły od wyspy do wyspy, i ich członkinie oddawały się dzikiej rozpuście. Tylko wtajemniczeni mogli brać udział w orgjastycznych misterjach, odprawianych ku czci bogów.

Dzieci Areoisu zabijano natychmiast po urodzeniu. Wogóle zabijanie dzieci było zwykłem zjawiskiem na pięknej, niby rozkoszny uśmiech morza, Tahiti. Głównym bogiem był Oro, syn Toaroasa. Greckiemu Posejdonowi odpowiadał tutaj bóg morza, Hiro. Pomiędzy bogami i ludźmi znajdowały się tiisy, duchy i upiory.



Kobieta z tatuowaną bródką.

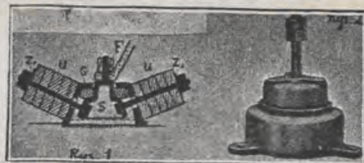
Oto, jaka była perła morza—Tahiti, z królem Pomarem II—gdy ją europejczycy odkryli. Jego następca, Pomar III, już w 1812 r. przyjął wiarę chrześcijańską, sam przetłumaczył Biblję na język polinezyjski i wybudował kościół.

Z królową Pomarą, która wstąpiła na tron po śmierci Pomara III, Francuzi nie robili sobie zbytniej ceremonji. Dzielni krajowcy utracili swą niezależność w 1846 roku i przepiękny archipelag został zaanektowany przez Francję.

Nowy przyrząd, przytłumiający szum i wstrząśnienia maszyn,

będących w ruchu, poczęto niedawno wyrabiać za granicą. Po zastosowaniu tego aparatu uderzania i wstrząśnienia regularnych ruchów części maszyny, szmery i szumy pracujących elektromotorów, dynamomaszyn i transformatorów, nie udzielają się bezpośrednio, jak to się odbywa dotychczas, podłodze, czy podkładom, na których maszyna spoczywa, lecz przechodzą z maszyny na specjalne tłumiące drgania podstawy, oddzielające maszynę od podłogi. W ten sposób ściany gmachu fabrycznego zostają zabezpieczone od bezustannych wstrząśnień, szkodliwie oddziaływujących na ich trwałość, a pracownikom zaoszczędzony zostaje nieprzyjemny i denerwujący, jednostajny hałas, przeszkadzający w pracy i niszczący zdrowie.

Zasadę takiego tłumika przedstawia oboczny rys. 1, w którym noga F maszyny przyśrubowaną jest do ruchomej płyty S tłumika. Ta płyta wisi na 3-ch sztabkach, z których na rysunku widoczne są 2, oznaczone literami Z 1 i Z 2. Te sztabki zaś wiszą z kolei zupełnie ruchomo w sprężystych i dających się regulować krążkach U, podtrzymujących swą przeciwwagą cały ciężar maszyny. Całkowity aparat, dość zresztą skomplikowany, który zawdzięczamy pomysłowi inżynierów znanej firmy elektrotechnicznej Siemens-Schuckerta, przedstawia w widoku zewnętrznym rys. 2. Jest on tak urządzony, że tłumi nietylko uderzenia maszyny, następujące w kierunku pionowym, lecz i wszelkie inne wstrząśnienia i drgania, odbywające się w maszynie w kierunkach dowolnych. Aparat ten, opisywany szczegółowiej w specjalnych czasopismach technicznych, wprowadzono już w kilku fabrykach z rezultatem bardzo pomyślnym.



Rys. 1. Rys. 2.



P. Z. Z. „Burza" i „Walka aniołów", choć obfitują w akcenty silne pod względem artystycznego wykończenia, nie wyrastają ponad poziom utartej frazeologji. Przyzna Sz. P. że wyrażenie „anielskie bojujące dłonie", brzmi nieco dziwacznie. Nie umieścimy.

P. A. W. Przekład „Modlitwy" Lermontowa - banalny i szary. Rękopis zachowany do zwrotu.

P. W. B. Z nadesłanych utworów wnioskujemy narazie że posiada Sz P. zdolności, które należy pogłębiać usilną pracą nad wzbogaceniem formy, w walory oryginalne. Zasadniczą myśl wierszyka, p. t. „Przy rozstaniu"—spowija mgła niedołężnego wysłowienia. Nie wydrukujemy.

p. L. B. z Zw. Chcąc krytykować poważnych autorów, należy mieć samemu wielką kulturę literacką. Nieraz, niestety, zdarza się jednak, że ludzie którym może dużo jeszcze brakuje, czy to wykształcenia, czy też wyrobienia, w odnośnym kierunku, poważają się na niczem nie uzasadnioną krytykę tych zasłużonych dla literatury, których już przedtem społeczeństwo należycie oceniło i darzy szacunkiem oraz uznaniem.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 k. **Reklamy**—40 k. **Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki**—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa." **Redaktor Feliks Kwaśniewski.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.